PANI DE STAËL, PIERWSZY PUBLICYSTA XIX WIEKU.

Profesor Franck, członek Instytutu, wykłada w *Collège de France* prawo natury i prawo człowieka. W tym roku zaczął mówić o publicystach pierwszéj połowy XIX wieku i na ich czele postawił panią de Staël. Nim podamy czytelnikom ten ustęp w przekładzie, nadmienimy, że p. Franck należy do pierwszorzędnych znakomitości umysłowych Francji i szerzy wymownie zasady prawdziwego postępu. Lubo żyd, przyklaskiwał niedawno ojcu Hjacentowi, sławnemu z konferencji jakie miewa w kościele *Notre-Dame*, oceniając w nim szeroki pogląd na stosunki społeczne. O emancypacji kobiet, odzywa się zawsze umiarkowanie; przelęka się nawet zbyt śmiałych dla nich zachcianek, słowem wszystkiego tego, coby je odrzeć mogło z uroku, jaki wywierają miłością, ale upomina się zawsze dla nich o wszystkie prawa człowieka. Sąd jego jest rozważny, zapał większy dla idei niż dla osób, dla tego też zasługują na uwagę studja jego nad niepospolitą osoblistością kobiecą, która nietylko narodowi, którego językiem tak dzielnie władała, lecz i płci swojéj chlubę przynosi, jako jenjusz zaś, należy do całéj społeczności ludzkiéj.

„Pierwsze imie, mówi Franck jakie napotykamy u wstępu w w. XIX stojące na czele szkoły liberalnéj, a więc zatrzymujące koniecznie naszą uwagę, jest imię kobiety, pani de Staël. Naznaczając jéj tam pierwsze miejsce, wypełniamy tylko czyn sprawiedliwości, a nie jakąś grzeczność światową, pani de Staël bowiem tak według chronologicznego porządku, jako też przez swój talent, jest pierwszą publicystką liberalną w Europie. Ona pierwsza rozpowszechniała śmiało i gorąco wyobrażenia, które zaledwie kiełkowały w umysłach za czasów pierwszego Cesarstwa, a nie bardzo śmieléj wyrażały się za Restauracji. Nikt z następców nie prześcignął jéj pod tym względem i jest to dla niéj nie małą chwałą, że się stała natchnieniem i naczelnikiem całéj szkoły pisarzy politycznych. Kobiety, nawet zdolne nie mają zwykle zamiłowania tych nauk poważnych, czują więcéj pociągu do poezji niż do filozofji i nauk ścisłych, więcéj mają tkliwości i zapału, niż rozumu i sądu o rzeczach, lecz pani de Staël obdarzona darem rzadkim połączenia przymiotów rozdzielonych zwykle na obie płcie; czuje jak kobieta, myśli jak mężczyzna. Jéj gorące serce podnieca rozwój jéj umysłu, jéj wysoka intelligencja oświeca i porządkuje wzruszenia duszy w taki sposób, że u niéj rozum nigdy nie jest zimny, a namiętność nigdy samopas nie puszczona. Z tych niepospolitych darów umysłu p. de Staël zrobiła jak najlepszy użytek, walczyła bowiem w obronie spraw wielkich, wtedy właśnie kiedy było niebezpiecznie stawać się ich adwokatem; oddała także ważne usługi swobodzie religijnéj, umysłowéj i moralnéj, pojmowała bowiem: że postęp tego rodzaju musi najprzód nastąpić w wyobrażeniach, a następnie przejdzie sam z siebie w instytucje.



Pani de Staël.

Traktowała wszystko: krytykę, historję, romans i filozofję i wszędzie zostawiła ślady swego genjuszu.

W XVIII wieku znano tylko dwa rodzaje pisania romansów: zmysłowy i sentymentalny; bawiono czytelnika opisami erotycznemi, lub usiłowano wzbudzić w nim zajęcie drobiazgowém szkicowaniem namiętności pojedynczych, nie troszcząc się, w jaki sposób te namiętności rozwijają się w życiu rzeczywistem. Pani Staël wprowadziła do romansu żywioł nowy; walkę wzruszającą i nauczającą zarazem, namiętności osób pojedynczych z instytucjami i wymaganiami społeczeństwa. Weszła na nową drogę rozszerzoną następnie przez inną kobietę, Jerzego Sand, tylko że u niéj walka kończy się zwycięztwem społeczeństwa, a u pani Sand, szczególniéj w pierwszych jéj utworach, namiętności tryumfują.

Zwróćmy także uwagę, że w końcu XVIII wieku krytyka literacka była tylko polem do deklamacji. Krytyk wielbił bezwarunkowo, albo potępiał, według tego jak co się zbliżało lub oddalało od typu idealnego, który sobie najprzód utworzył; po za tem nic nie rozumiał i przyjmować nie chciał. W taki to sposób *Laharpe*, jako najdoskonalszy przedstawiciel zasad klasycyzmu, badał starożytność, śledząc przedewszystkiem o ile była podobną do wieku Ludwika XIV i krytykując ją surowo, że była tak różną. W taki sposób Wolter, mimo wyższości swego umysłu, sądził Szekspira poszukując w jego sztukach elegancji i wykwintu wysłowienia, do jakich Rasyn francuzów przyzwyczaił, i oburzając się srodze, że tego wszystkiego nie znajduje w dramaturgu angielskim. Pani de Staël dała pierwsza przykład krytyki sprawiedliwszéj i szerzéj pojętéj; usiłowała rozumieć nim się wzięła do sądzenia; odrzucając opinje zdawkowe i z góry powzięte uprzedzenia, porównywała między sobą arcydzieła, studjowała organizm ludzki, o ile go czas, narodowość, obyczaje i przekonania religijne modyfikują. Pojęła, że aby dojść do należytego ocenienia człowieka lub dzieła genjuszu, należy mieć na względzie warunki, tak fizyczne, jak moralne, wśród których ten człowiek się rozwijał, lub to dzieło się utworzyło. Na téj zaś nowéj drodze umiała przystanąć w samą porę; nie spuszczając z oka wpływów fizycznych, umiała je zawsze poddać wpływom moralnym, krytycy zaś naszych czasów przesadzając w tym względzie, doszli do tego, że dzieło sztuki studjują jak roślinę i szukają wytłomaczenia jego wzrostu, rozbierając chemicznie brudne naleciałości społeczne wśród których wzięło początek. Pani de Staël, jest zarówno oddalona od tego grubego materjalizmu, jak i od samowolnych abstrakcji Laharpa. Nie zna późniéj używanych metafor, zapożyczonych ze świata fizycznego, wyrażeń w tym rodzaju jak: *strefa umysłowa, temperatura moralna* i t. p., które zdradzają wiarę w fatalny i nieprzeparty wpływ na duszę okoliczności zewnętrznych. Nie bierze za jedno rozwoju umysłu wolnego i czynnego ze wzrostem biernéj rośliny.

Historja w XVIII wieku nie była lepiéj od krytyki literackiéj pojęta. Miała także swój ideał utworzony przez filozofów i teoretyków politycznych, a wszystko co w przeszłości nie zgadzało się z pojęciami współczesnemi było potępione; rozpływano się tylko nad wypadkami i instytucjami, które miały jakieśkolwiek podobieństwo z teraźniejszością, i te wyroki zwykle pełne deklamacji, choć czasami wymowne, nie były poparte rzetelną nauką. W historji bowiem dokładna znajomość i odmalowanie wierne wypadków i obyczajów, powinny iść przed krytyką historyczną. Dopiero odszukawszy wizerunek przeszłości i odwzorowawszy go należycie, można stosować wypadki pojedyncze do praw ogólnych i wyciągać z nich wnioski. Pani de Staël pierwsza tę prawdę pojęła. Zamiast się oburzać jak Wolter, Dulaure lub ksiądz Raynal na wypadki na które najwymowniejsze gniewy nie pomogą, usiłowała odmalować rzeczywistość, uchwycić przyczyny i prawa wypadków i z nich dopiero zasady pewne dla teraźniejszości i przyszłości wyprowadzić.

Pani de Staël oddała szczególniéj przysługę swojemu wiekowi przez odkrycie, że tak powiem, Niemiec. Umysł francuski był znużony i wycieńczony po pracach XVIII wieku— ona mu wskazała źródło, gdzie się ma odświeżyć i szukać sił nowych. W XVIII wieku znaliśmy niedokładnie Anglję, nie znaliśmy prawie Niemiec. Nienawiści narodowe podżegane wojnami Rzeczypospolitéj i Cesarstwa trzymały Francję w zupełném odosobnieniu umysłowem. Pani de Staël umiała być wyższą nad urazy polityczne i przygotowała zgodę zaprowadzając w wyższych sferach myśli braterski stosunek.

Francja jéj zawdzięcza poznanie poetów, historyków i filozofów narodu, który w dziedzinie spekulacji stworzył arcydzieła i poświęcił się tak wyłącznie uprawie inteligencji, że zdawał się dobrowolnie usuwać od spraw tego świata. Przed nią zaledwie sława najznakomitszych pisarzy niemieckich przeszła za Ren, nikt zaś ich dzieł nie znał, a członek Konstytuanty, który proponował, aby Szyllerowi przyznać tytuł obywatela Francji, nie umiał napisać nazwiska wielkiego poety. Pani de Staël uprzedziła w tém szkołę eklektyczną, że uczyniła popularnemi u nas imiona Kanta, Fichtego, Schellinga, tłomacząc i rozbierając ich zasady, słowem w filozofji tak jak w historji i literaturze starała się zrozumieć wszystko; nauczyła współczesnych wyglądać po za granice czasu i kraju swego i wzbogacać się korzyściami swo-

bodnéj wymiany myśli; wykazała dowodnie, że materjalizm ze swobodą iść w parze nie może.

Przypatrując się życiu pełnemu niepokojów, a nawet nieco awanturniczemu pani de Staël, łatwo pojąć, jakiego materjału dostarczyć mogła obmowie, jednakże lubo czasami pozory nie mogą wypaść na jej korzyść, zwłaszcza w oczach sędziów uprzedzonych, to jednakże jéj nieprzyjaciele na tych pozorach poprzestać musieli i nie mogli dostarczyć, ani jednego dowodu jéj mniemanych błędów. Gdyby były jakie, należałoby bez wątpienia uledz rzeczywistości, gdyż zamykać oczy na fakta dowiedzione, jest to posuwać aż do śmieszności, uwielbienie genjuszu. Lepiéj wszakże popaść w tę ostateczność, niż w przeciwną, stania się zbyt pochopnym do sponiewierania świetnego imienia.

Pani de Staël od dzieciństwa odznaczała się umysłem bystrym i wcześnie rozwiniętym. Jéj matka, pani Necker, była kobietą rozumną, cnotliwą i z nie małą pisarską zdolnością, ogłosiła bowiem drukiem odznaczające się prace, ale była surowa, umiejąca panować nad sobą, i mimo swego południowego pochodzenia, nadzwyczaj zimna, przynajmniéj z pozoru. Córka jéj z duszą gorącą, wrażliwą, namiętną, nader ożywiona i łatwo wywnętrzająca się, tworzyła zawsze najdoskonalsze przeciwieństwo z powagą matczyną. Towarzystwo było jéj żywiołem, śród ludzi zdawała się nowem życiem odradzać. Uczęszczający do salonu p. Necker jak: Champfort, Buffon, Diderot, Marmontel, ksiądz Raynal, mieli sposobność przypatrywać się jéj, gdy opierając się o fotel matki, słuchała z niczem niezakłóconą uwagą, najpoważniejszych rozpraw. Naprózno zalecano jéj, żeby milczała i spuszczała oczy. Jéj ciemne źrenice ścigały spojrzeniem bystrem i przenikliwem każdego z mówiących; nie straciła z uwagi żadnego poruszenia, żadnego słowa; zdawała się rozumiéć wszystko i zdumiewała co chwila filozofów uwagami i pytaniami nadzwyczajnéj głębokości. Mimowolnie więc, uważano ją za panienkę, kiedy była jeszcze dzieckiem.

Ksiądz Raynal np. prawił jéj długie mowy, których słuchała z całem skupieniem uwagi. To wczesne jéj powodzenie, to rozwinięcie nad wiek, przerażało matkę, która z tego nie wróżyła nic dobrego, przeciwnie ojciec ubóstwiał ją i równie gorącéj doznawał od niéj miłości. Mawiała późniéj, że w całém jéj życiu, jedno tylko uczucie było równie żywe, jak miłość dla ojca, a tem była jéj nienawiść dla Napoleona I. Opowiadają zabawny szczegół o sposobie w jakim raz wyraziło się jéj przywiązanie dziecięce. Miała lat dziesięć, gdy przystąpiwszy do będącego w salonie matki historyka Gibbona, zaproponowała mu, żeby się z nią ożenił. Wiedzieć trzeba, że brzydota Gibbona, była tak sławna jak jego rozum. Nic w jego osobie rozłosłéj i tłustéj, aż do potworności, nie oznajmiało niepospolitéj wyższości jego umysłu. Raz podobno rzuciwszy się na kolana przed kobietą, która mu się podobała, byłby z nich nie powstał, gdyby ta pani nie kazała swoim lokajom go podnieść. Musiała go więc zdziwić propozycja panny Necker, i zapytał się jéj, zkąd jéj to na myśl przyszło? Widzę, odpowiedziała dziewczynka, że mój ojciec najchętniéj z panem rozmawia, a pan jesteś cudzoziemcem, wrócisz może niedługo do siebie, gdybyś się jednak ze mną ożenił, zostałbyś we Francji, z czego mój ojciec byłby kontent.

Jednak to ciągłe natężenie władz umysłowych nie zostało bez wpływu na jéj zdrowie, rodzice wysłali ją na wieś dla rozrywki i odetchnienia, tam to w piętnastym roku życia, napisała pierwszą swoją pracę: List anonim do ojca, na jego niefortunne *„sprawozdanie urzędowe"*. Podczas gdy zastanawiała się nad kwestjami finansowemi i politycznemi, wyobraźnia jéj nie zostawała bezczynną. Matka pozwalała jéj czytać romanse, a można miarkować jakie one na téj ognistéj naturze wrażenie wywierały. Nieszczęścia Klaryssy Harlow (bohaterki romansu), są jednym z ważnych wypadków jéj życia. Temu to wychowaniu przypisać należy cechę romansowości, jaką zawsze zachował jéj umysł.

Powiedziano słusznie, że nie była nigdy dzieckiem i że była zawsze młoda. Jednakże teatr lubo mniéj szkodliwy jak romanse, był jéj zakazany. Próżna ostrożność! pisała sama sztuki teatralne i przedstawiała je sama. Podobnie było i z panią Sand, która w pierwszych jeszcze latach dzieciństwa, już tworzyła w swéj wyobraźni romansowe powieści i oblewała je łzami.

Tak wychowana panna Necker, została w 20-tu latach życia żoną barona de *Staël-Holstein*, ambasadora króla Szwedzkiego. Odtąd cała oddana życiu umysłowemu, zdawała się więcéj pragnąć sławy, niż szczęścia. Może też nie miała przymiotów potrzebnych w małżeństwie, a może byli winni ci, co ją wydali za człowieka znacznie starszego i nader surowego w obejściu. Związek ich był nieszczęśliwym, jak są niemi wszystkie te, w których uczucie nie odgrywa żadnéj roli. Nic szkodliwszego, nic mniéj rozsądnego, jak te małżeństwa z rozsądku. Jest to podkopanie z gruntu rodziny. Gdy małżeństwo uważane jest za interes, traktuje się też i układa jako jaki kontrakt dzierżawny, lecz przychodzi czas, że uczucie protestuje przeciwko wyrachowaniom rozumu, i odpycha narzu-

cone sobie obowiązki. Państwo Staël rozdzielili się po kilku latach pożycia, lubo ona nie uchybiła w niczem obowiązkom żony i matki i pełniła je zarówno po rozłączeniu. Dowody przytoczone przez tych, co jéj zaprzeczają téj zasługi, nie wytrzymują ściślejszego rozbioru. Dość długo utrzymywano, że była panią myśli sławnego Benjamina Constant, lecz on był zaledwie wyrostkiem, kiedy ona już była dojrzałą kobietą; on sam twierdzi, że żadna istota ludzka, nie wzbudzała w nim tyle uszanowania, a trzeba wierzyć człowiekowi, który nigdy nie zgrzeszył zbytkiem dyskrecji i wdzięczności. Drugi przyjaciel pani de Staël pełen próżności Schlegel, skompromitował ją mocno i rozmyślnie; wszystkie pokoje jego mieszkania były ozdobione portretami znakomitéj autorki. Portret salonu wyobrażał ją ubraną, tak jak się przedstawiała towarzystwu, w następnych pokojach coraz mniejsze było okrycie, a w sypialni wizerunek przedstawiał ją całkiem bez ubrania. Ta przechwałka dowodziła tylko głupiéj zarozumiałości Schlegla, ale to ten sam człowiek, który wykładając w uniwersytecie w Bonn, studjował pozy swoje w wielkiem zwierciedle. Był nauczycielem dzieci pani de Staël i kilka lat przepędził w jéj domu, lecz nikogo nie mógł przekonać, żeby dla niéj był czem innéın, jak tylko jéj wrzekomym, zdradliwym przyjacielem. Ze wszystkich stosunków jakie przypisują pani de Staël, jeden jest prawdziwym, i był uświęcony małżeństwem tajemném. Tym drugim jéj mężem był oficer francuski pan de Rocca, inwalid w kwiecie wieku, skutkiem ran jakie odniósł w wojnie hiszpańskiéj, a ciągłe jego cierpienia, uczyniły mu tém potrzebniejszą troskliwą opiekę pani de Staël.

Trudno znać postępowanie ludzkie, i byłoby zbyt naiwnie mieć to tylko za prawdziwe, co się robi otwarcie. Zważmy jednakże czem jest potwarz, od któréj nigdy nie wymagają, aby poparła dowodami twierdzenia swoje; opierający się jéj tylko muszą składać dowody, a jeżeli nie mogą przedstawić dość jasnych na zamknięcie ust zjadliwych, przegrywają sprawę przed opinią publiczną. Szczególniéj też udaje się potwarcom, kiedy się czepiają kobiety i do tego kobiety znakomitéj. Mają za sobą zadrość drugich kobiet i nikczemną zarozumiałość męzką. Wszyscy tedy na wyścigi zapominają, że nic łatwiejszego, a zarazem nic bardziéj podłego, jak splamić reputację niewinnéj kobiety. Dajmy więc pokój prywatnemu życiu pani de Staël, a patrzmy na jéj życie publiczne; nie ma tam ani jednego postępku, ani jednego kroku, któryby nie był jéj godnym. Poszedłszy za mąż w r. 1786, była w Paryżu podczas wybuchu rewolucji i pozostawała tam w chwilach najniebezpieczniejszych służąc zawsze sprawie wolności i prześladowanych przyjaciół. W pamiętnych dniach września, była uwięziona chwilowo, usiłując ocalić kilka osób, późniéj przechowywała u siebie niektórych ściganych przez trybunał rewolucji, a między innemi Lally-Tollendal. W czasie reakcji z miesiąca termidora, wymownie protestowała przeciwko temu nowemu rodzajowi terroryzmu. «Czy powtórnie chcą nam kazać przejść morze krwi?» pytała. Za Dyrektorjatu należała do kółka konstytucyjnego, a po 18 brumair'a dostrzegła jaki jest cel ambicji Bonapartego i śmiało wypowiedziała mu wojnę; wojnę epigramatów w któréj nie miała sobie równego, a które drażniły niewymownie pierwszego konsula. Téj jéj nienawiści nie mogły usunąć, ani grzeczność uprzedzająca, ani prześladowanie.— «Ale cóż pani chcesz?» pytał się jéj raz Józef Bonaparte— «Nie idzie o to co ja chcę, ale o to co ja myślę», odpowiedziała.— Była też kilkakrotnie skazywana na wygnanie, raz za jakieś nieostrożne mowy w salonach, drugi raz z powodu dzieła jéj ojca: *Ostateczne spostrzeżenia nad stanem finansów i polityki.* Bonaparte bowiem podejrzywał, że pisała je razem z ojcem. Po wyjściu z druku Korynny, autorka otrzymała nowy rozkaz wyjazdu. Szczególniéj też rozgniewało Napoleona dzieło o *Niemczech.* Dziesięć tysięcy jego egzemplarzy zniszczono w drukarni i po księgarniach, a autorka dostała rozkaz opuszczenia Francji w ciągu dni trzech. Napróżno błagała o przedłużenie terminu. Policja odpowiedziała jéj, że nie jest *francuzką*, i że na żadne względy ze strony rządu francuzkiego nie zasługuje.

Usunęła się do Coppet w Szwajcarji, ale tam śledziło ją ciągle podejrzliwe oko. Przyjaciele którzy przyjeżdżali ją odwiedzać, popadali w niełaskę; nie mogąc znieść takiego życia, skazała się sama na dalsze wygnanie, i wyjechała do Rossji, gdzie najzaszczytniejszego doznała przyjęcia, tak w Petersburgu jak w Moskwie.

W roku 1714 wróciła do Francji, nie tak jak ci co otaczali Burbonów, z uśmiechem tryumfu na ustach i urąganiem się rewolucji, ale ze łzą gorzką nad nieszczęściami i upokorzeniami jakie na Francję sprowadziła ambicja Napoleona. Z jakąż radością witała znane sobie kąty Paryża, i tę ulicę du Bac, za którą tak tęskniła!

Wszędzie i zawsze serce pani de Staël było na wysokości jéj umysłu; zajmuje ona niepospolite miejsce, tak w historji politycznéj, jak i w historji literatury. Mało jest imion w tym wieku, któreby na szczersze zasługiwały uwielbienie. Zarzucała jéj policja cesarska, że nie jest francuzką, jest ona nią z serca, z umysłu i z mowy.

Jeżeli lepiéj od współczesnych umiała się oswobodzić od narodowych uprzedzeń, jeżeli pierwsza pojęła i dała nam pojąć wielkich pisarzy i filozofów niemieckich, to zamiast wymówek, zasługuje na uznanie, że oddała krajowi znakomite przysługi, wzbogacając go tém wszystkiém, co zapożyczyła u obcych."

(D. n.)

(Z prelekcji p. Franck).

podała *J. Dobieszewska (Śmigielska)*.

IGŁA I PIÓRO

(POWIASTKA).

napisał **Władysław S.....**

(Dalszy ciąg).

IV.

Na drugiem piętrze kamienicy zwanéj potrzaskiem, mieszkała nie źle się mająca wdowa, którą nazywano kapitanową. Była to powszechnie ceniona i poważana kobieta. Wszyscy męzcy lokotorowie potrzasku nisko uchylali czapek i kapeluszy, spotykając ją na wschodach, wszystkie zaś lokatorki składały jéj wizyty i rozprawiały z nią szeroko o bieżących wypadkach domowych.

Kapitanowa nikomu wizyt nie oddawała, ale jeśli jéj kto o co zapytał, nikomu dłużną w odpowiedzi nie była. Nie oddawanie wizyt składanych przez sąsiadki, dawało jéj w oczach poczciwych lokatorek potrzasku jakiś urok wyższości, do którego się przyczyniał i tytuł, przez nikogo w wątpliwość nie podawany, jakkolwiek zacnego jéj małżonka, kapitana, nikt z mieszkających w całym domu nie znał, a nawet nie znał nikogo z takich, coby o nim cokolwiek wiedzieli. Z drugiéj strony najgruntowniejsza świadomość wszystkiego, co się w domu działo, znajomość stosunków wzajemnych i familijnych wszystkich lokatorów potrzasku, czyniła kapitanowę pewnym rodzajem potęgi miejscowéj, przed którą uchylały się najdumniejsze czoła sąsiadek i umilkły najwymowniejsze buzie rozlokowanych na rozmaitych piętrach kumoszek.

Pani kapitanowa wiedziała najdokładniéj o każdym co jadł, co pił, czego się spodziewał, z kim żył w zgodzie, z kim na bakier, zkąd pożyczył, gdzie zastawił, ile, na co, na jaki procent, ile faktornego zapłacił; w jakiéj komitywie mąż z żoną, brat z siostrą, kochanek z kochanką, rodzina z rodziną, lokator z sublokatorem, gospodarz z gospodynią, a stara panna z czwartego piętra, sąsiadka pana Pawła, z każdym ze swoich czterech piesków rozmaitéj rassy....

Pani kapitanowa wiedziała to wszystko, a co wiedziała ta zacna osoba, dowiadywał się dom cały, i nie jeden z lokatorów zachodził w głowę, nie mogąc zrozumieć, jakim sposobem osoba spokojna, jedynie do kościoła wychodząca z domu, miłująca Boga nadewszystko, a bliźniego jak siebie samą, a nawet więcéj, bo zajmowała się bliźniemi daleko więcéj jak samą sobą,— otóż jakim sposobem osoba ta, była tak dokładnie zawiadomioną o wszystkiem co się w domu działo.

Było to jednak bardzo proste. Ktokolwiek co na sąsiada pomyślał, ktokolwiek dostrzegł słomkę w oku bliźniego, szedł się zaraz spowiadać do kapitanowéj, a kapitanowa, kobieta zręczna i domyślna, oprócz słomki, na którą zwracano jéj uwagę, spostrzegła i belkę, znajdującą się w oku tego, co się żalił na sąsiada, lub go wyszydzał i potępiał. Potakując wszystkiemu co usłyszała, zachowując wszysko czego się dowiedziała na swój własny użytek, kapitanowa miała w zapasie całe sąsieki słomy i całe szychty belek wyciągniętych z oczu sąsiadów.

Czy sama ta pobożna osoba była nietylko bez belki, ale nawet bez słomki w oku, czy parabola ewageliczna i do niéj się nie stosowała?— trudno powiedziéć.

Dość, że pani kapitanowa żyła i miała się nie źle, że wszyscy sąsiedzi ją poważali, gdyż czuli, że im potrzebna do pobłażliwego przyjmowania upływów żółci sąsiedzkiéj, albo domowéj, i że się jéj bali, gdyż jéj wszystkowiedztwo wszystkich w zależności pewnéj od niéj trzymało.

Z czego żyła? jakie były jéj dochody? czy tak była rzeczywiście potrzebną wszystkim, jak o tém wszyscy głęboko byli przeświadczeni, i tak naprawdę straszną dla wszystkich, jak ją opinja ogólna malowała— nikt o tém na pewno nie wiedział, wiedziano tylko, że jéj powaga w całéj kamienicy, doszła do tego stopnia, że żadna ważniejsza sprawa domowa, bez jéj udziału, albo rady, obejść się bynajmniéj nie mogła.

Mieszkanie pani kapitanowéj, było nietylko biurem informacyjném potrzasku, było ono jeszcze jego izbą lekarską i czytelnią.

Nikt lepiéj nad zacną wdowę, nie znał najrozmaitszyzh domowych środków na wszystkie choroby, nikt praktyczniejszéj nie podał rady na opadnięcie języczka, ognipiór, skrofuły i tym podobne słabości dzieci, na rumatyzm, kaszel, katar, ból zębów, oparzenia, odzięblenia, odciski, kolki, strzykanie w uszach i wszystko co się tylko chorobą nazwać mogło u dorosłych. Jakkolwiek środki lekarskie kapitanowéj nie wytrzymałyby zapewne specjalnéj krytyki, była ona jednakże jako wyrocznia medyczna, prawdziwą dobrodziejką licznych lokatorów, wierzono bowiem powszechnie w skuteczność doradzanych przez nią środków, a tym sposobem, jakiebądź one były, prawie zawsze wywierały wpływ zbawienny, jest to bowiem niezawodnym pewnikiem, że mocna wiara w lekarza, połowie wyleczenia się równa.

Ta powaga nieomylności lekarskiéj zwiększała jeszcze szacunek, jaki kapitanowa miała u swoich sąsiadów, a nawet przynosiła jéj coś, coby się na pieniądze przetłómaczyć i wyrazem dochód nazwać dało. Były to podarki, mniejszéj lub większéj wartości, któremi obsypywali ją wszyscy, począwszy od matki, któréj przepisała ulepek dla dziecka, aż do sąsiadki pana Pawła, kiedy jéj doradziła szarą maść dla suczki.

Pani kapitanowa miała prócz tego kilkadziesiąt książek i książeczek, i rozpożyczała je każdemu, kto zażądał z mieszkających pod tym samym dachem, skrupulatnie pilnując oddania w terminie. Były to po większéj części stare książki religijne, żywoty świętych, czytania pobożne, czytelnie chrześcijańskie i inne dzieła w tym rodzaju, pomiędzy któremi błąkało się kilka powieści i romansów jak: *Kupiec z Krakowskiego-Przedmieścia*, *Adjutant naczelnego wodza*, *Pustelnik z czarnego grobowca*, *Klementyna czyli życie sieroty* i t. p. Z pomocą téj małéj bibljoteczki, z któréj najnowsza książka pełnoletności już dobiegła, pani kapitanowa pełniła swoją missję cywilizacyjną, krzewiła pobożność, moralność i oświatę, jak mogła.

Była to kobieta lat czterdziestu kilku, z czarnym niegdyś, a dziś już dobrze posrebrzonym włosem, małemi szaremi oczyma, które dość często na dół pobożnie spuszczała, wysokiem czołem, którego zmarszczek przelotny nawet gniew nigdy nie przybliżał do siebie, i pulchnemi policzkami, na których znać było, że mimo ścisłéj obserwacji postów i wigilji, głodem się nie dręczyła zabardzo. Zęby białe i równe, nie będące niestety! podarkiem natury, lecz poprostu wyrobem zręcznego artysty, pełniły swoją służbę wybornie i pięknie przyozdabiały usta, nałogowo do słodkiego ułożone uśmiechu. Po nad ustami porastał gęsty czarny meszek i zdaleka wyglądał na niegolone od tygodnia wąsy dojrzałego mężczyzny.

Nie mogąc się nazwać otyłą, kapitanowa była jednak nie złéj tuszy, ubranie zaś jéj, lubo z nie kosztownego materjału, było zawsze staranne i gustowne.

Oprócz sąsiadów z potrzasku, lokatorka z drugiego piętra, odbierała także wizyty osób znajomych z miasta. Były to najczęściéj panie prawie tegoż samego co ona wieku, niekiedy jednak bogato i wystawnie postrojone.

Do téj to właśnie pani, szła Marynia po pokarm umysłowy, którego ustawiczna robota, tak rzadko kosztować jéj pozwalała.

Schodząc ze wschodów, myślała naturalnie o panu Pawle, a jakiś uśmiech figlarny błąkał się po jéj twarzyczce.

— Szedł na piąte piętro,— mówiła w duchu— do kogo? po co?...

Filutka, musiała odgadywać zkąd się panu Pawłowi zebrało na odwagę cywilną, puszczania się tak wysoko, gdyż dochodząc do drugiego piętra, rzekła półgłosem, tłumiąc śmiech:

— No! i ktoby się po nim tego spodziewał?... a to zuch!....

Ktoby słyszał ten króciutki monolog, mógłby łatwo osądzić, że w nim żadnego dąsu, ani urazy nie było.

Kapitanowa przyjęła Myrynię swym wiekuistym uśmiechem i nim jéj dała powiedzićć po co przyszła, wyrecytowała jéj parę najświeższych domowych wiadomości, jako to: że najmłodszéj córce gospodyni wyrznął się trzeci ząbek, że kanarka Wawrzyńcowéj kot zadusił, że młoda szewcowa mieszkająca od tyłu, nawymyślała od ostatnich praczce co nad nią mieszka, za obgadywanie jéj, i t. p.

Marynię bardzo mało interesowały wszystkie te potrzaskowe nowinki, zajęta bowiem pracą, nie wielu lokatorów poznać mogła, i do zajmowania się cudzemi sprawami, nie miała jakoś zbyt żywéj ochoty. O jednym tylko panu Pawle, lubiła niekiedy, jak to wiemy, usłyszéć coś od kapitanowéj.

Gdy więc uchwyciła chwilę, w któréj pani kapitanowa zaczerpnąć potrzebowała oddechu, skorzystała z niéj natychmiast, żeby powiedzićć, że przyszła po książkę, gdyż jéj tego wieczoru roboty zabrakło.

— Chcesz książki?... dobrze moje dziecko— odpowiedziała kapitanowa,— zapomniałam ci tylko powiedzićć, że stróżka się przysięga na czem świat stoi, że widziała na własne oczy jak pani Gierdawa, za sześć główek kapusty zapłaciła, a dziewięć do domu przynio-

sła.... Cóż bo to za język u téj stróżki!... jakby to nikt nie wiedział, że i ona sama....

— To dobra kobiecina,— ośmieliła się wtrącić Marynia.

— Dobra, ja nic nie mówię, ale nie święta. Każdy ma swoje ale. Poślesz ją po piwo, to upije i wodą dobełcze... Zresztą, to powszedni grzech!... Poczciwa, dobra,— zakończyła kapitanowa, pobożnie spuszczając oczy,— chociaż.... szwindel.... ja tam jéj na niczém nie złapałam, ale tak już ludzie gadają.

— Och! ludzie często... odezwała się lokatorka facjatki.

— Z igły zrobią widły... dokończyła pobożna osoba,— wszak tak chciałaś powiedziéć, nie prawdaż kochaneczko? Masz racją, masz racją!... Ta poczciwa konduktorowa z trzeciego piętra, ma taką ładną książkę do nabożeństwa z klamrami, i zawsze ją bierze z sobą jak wychodzi z domu, gdy mąż wyjedzie. A ludzie zaraz gadać, że jéj nikt w kościele nie widział... Fe! fe! brzydkie języki!... zawsze im złe na myśli... choć to może i prawda i o Gierdawie i o konduktorowéj... ale po co to się w to wtrącać.... Cóż tedy chciałam mówić, Bogiem a prawdą?... a!... czegóżeś to potrzebowała kochaneczko?

— Myślałam, że pani kapitanowa będzie łaskawa pożyczyć mi jakiéj książki.... brak mi roboty...

Zaledwie Marynia domówiła tych wyrazów, dało się słyszéć lekkie puknięcie we drzwi.

— Proszę wejść!... otwarte,— zawołała kapitanowa.

Drzwi się otworzyły powoli, i ukazał się zaczerwieniony jak burak pan Paweł.

Marynia spostrzegłszy go podobnież karminowym zapłonęła rumieńcem i czuła, że serduszko czemuś mocniéj bić jéj zaczęło.

— Przepraszam panią kapitanowę,— rzekł nasz bohater zaraz w progu,— chciałbym prosić, czyby pani nie była łaskawa pożyczyć mi jakiéj książki do czytania.

Kapitanowa uśmiechnęła się.

— Dwoje gołąbków wyznaczyło sobie schadzkę w mojem mieszkaniu— pomyślała.

I głośno odezwała się do pana Pawła:

— Ależ wejdź pan i zamknij drzwi, bo cug. Przecież raz zdecydowałeś się pan mnie odwiedzić. Przynajmniéj od kwartału nie widziałam pana.

— Pracowałem, pani, nie chciałem przeszkadzać,— tłómaczył się pan Paweł,— dziś mi roboty zabrakło, radbym cośkolwiek przeczytać.

— Słówko w słówko, to samo śpiewa co i ona!— mówiła w duchu kapitanowa,— nawet sobie fatygi nie zadali, żeby choć dwa kłamstwa wymyśléć.

Kopista poczuł się do obowiązku przywitania Maryni tak, jakby się bynajmniéj przed chwilą nie widzieli, i Marynia odkłoniła mu się tak samo, usiłując zarumienionéj twarzy, nadać jak najobojętniejszą minkę. Bez zmowy manewrowali jednomyślnie przeciw domyślności kapitanowéj, była to jednak dyplomacja zapóźna i tylko bardziéj jeszcze utwierdzająca jéj przypuszczenia.

— Tak, tak,— myślała ona,— chcielibyście mi oczy zamydlić.

Kapitanowa zawiązała rozmowę, zwracając się w niéj kolejno, to do Pawła, to do Maryni; starała się ich ośmielić, żeby jeszcze lepiéj wybadać, a kiedy po kwadransie nie spostrzegła nic takiego, coby jéj domysły zachwiać mogło, zdecydowała stanowczo, że się kochają, dała im książek, zastrzegając, żeby prędko odnieśli.

Marynia wówczas odezwała się, że pora powracać do babki, a pan Paweł natychmiast powstał, i zaczął przepraszać kapitanową za zabranie jéj czasu.

Kapitanowa nie zatrzymała obojga.

Pracownik pióra, odprowadził pracowniczkę igły, aż do wschodów piątego piętra.— W chwili wychodzenia od kapitanowéj miał na myśli niezmiernie wiele rzeczy do powiedzenia jéj w czasie tych odprowadzin, ale ledwie znaleźli się sami, myśli te, tak się jakoś pokryły po najrozmaitszych zakątkach jego głowy, że ani jednéj złapać nie mógł.

Marynia podobnież milczała.

Na czwartem piętrze powiedzieli sobie dobranoc i każde pobiegło do siebie czytać książkę.

Marynia czytała babce, więc nie dziw, że przeczytała tom cały, lecz pan Paweł nie miał czytać komu, to też chociaż usiadł nad książką i wlepił oczy w pierwszą kartkę, i do nocy nad nią przesiedział, nie wiedział jednak, co na téj kartce było, bo sądził, że nie patrzy w drobne czcionki książki, a w modre oczy dziewczęcia!....

Nazajutrz w całym domu już wiedziano, że pan Paweł kocha się w Maryni, kapitanowa bowiem zbyt była pewną prawdziwości swoich spostrzeżeń, ażeby téj nowiny rozgłosić nie miała.

Dzień następny, był dla dwojga kochanków, dniem poszukiwania roboty. Pan Paweł jeszcze przed pójściem do biura chodził do kilku miejsc, w których spodziewał się zajęcia, Marynia przed pójściem do filantropki, również do kilku miejsc pukała. Po skończeniu obowiązkowéj bezpłatnéj pracy, oboje nie zaraz powrócili do siebie, lecz znowu szukali zatrudnienia.

Wszystko to było napróżno. Los ich skazywał na wakacje.

Powrócili do domu smutni. Pan Paweł przyszedł naturalnie wprzód, bo jego biuro, jak wiadomo, wcześniéj o godzinę się kończyło, Spotkanie się z Marynią stało się tym sposobem nieuniknione.

— No, jakże panie, wszak pan szczęśliwszy odemnie?— zapytała Marynia— znalazłeś pan robotę?

— Jakto, pani nie znalazłaś i dzisiaj?— odpowiedział zapytaniem pan Paweł.

— Niestety!... Jeśli tak daléj pójdzie, co ja pocznę?....

To niepodobna, żeby tak dłużéj trwało. Jutro znajdziemy zajęcie. I pani i ja także....

— O! niezawodnie, że znajdziemy...

— A tymczasem będziemy się bawili czytaniem.

— Ja bo wczoraj już przeczytałam tę książkę od kapitanowéj...

— Jakto, całą?... więc pani odda dzisiaj— spytał pan Paweł.

— Naturalnie, a pan swojéj nie skończył?....

Pan Paweł, jak już wiemy, nie zaczął nawet swojéj książki. Nie przeszkodziło mu to jednak powiedzieć:

— To jest... pani... owszem... skończyłem, od *a* do *z*.



Zapukał do sąsiadki właścicielki czterech piesków (str. 107).

— A więc zamiast odnosić kapitanowéj, może lepiéj będzie pomieniać nasze książki,— zaprojektowała Marynia.

Panu Pawłowi jakoś nie w smak poszła ta propozycja, grożąca pozbawieniem go sposobności dłuższego widzenia Maryni. Odrzekł więc kwaśno:

— W istocie.... jeśli pani chce.... chociaż...

Nagle przyszła mu myśl szczęśliwa:

— A jaką książkę pani kapitanowa dała ?— zapytał.

— *Rimembranza*, — odpowiedziało dziewczę.

— O! ja czytałem już ten romans — odrzekł szybko pan Paweł.

Gdyby Marynia chciała, mogłaby z łatwością zaprzeczyć panu Pawłowi, bo zresztą *Rimembranza* nie jest wcale romansem, tylko rodzajem noworocznika.... ale jéj to nie było w myśli.

— Zawsze, jeżeli pani chce,— mówił daléj pan Paweł, to ja pani mogę dać moją książkę.

— A jakaż to?— zapytała Marynia.

— *Dadziboga.*

— Dziękuję panu, i ja czytałam już ten noworocznik,— odrzekło dziewczę nie patrząc mu w oczy.

Pan Paweł z całéj książki pożyczonéj od kapitanowéj, tyle tylko wiedział, że *Dadziboga* nie jest wcale noworocznikiem, lecz powieścią historyczno-fantastyczną z ziemi kijowskiéj, nie myślał jednak protestować, owszem dziwnie się ucieszył, że Marynia czytała *Dadziboga*, chociaż pod postacią noworocznika.

Wypadło tedy, że tegoż dnia jeszcze, trzeba będzie być u kapitanowéj i odmienić książki, żeby miéć na wieczór zajęcie.

V.

Przez kilka dni następnych nic się nie zmieniło. Roboty, jakby ją kto zaklął, znaleść nie było można. Oboje zakochani— kandydat na aplikanta i kandydatka na magazynierkę , przepędzali wieczory na czytaniu, które poprzedzało widywanie się u kapitanowéj. Pan Paweł często nie przeczytał lub nie doczytał pożyczonéj książki, lecz skrupulatnie ją odnosił i brał nową, Marynia zaś tak zawsze pilnie czytywała, że choćby tom był bardzo gruby, choćby gdzieniegdzie ominięciem kilku mniéj zajmujących kartek, trzeba było sobie dopomódz, zawsze z czytaniem wydążyła i na drugi dzień odmienić go potrzebowała.

Rozrywka ta, widywania się wzajemne, rozmowa słowna i wymowa oczu, wystarczyły prawda sercom młodéj pary, lecz z głów nie mogły wyrugować kłopotliwych myśli o jutrze. Myśli te były tém smutniejsze, że

każde się martwiło mniéj może o siebie, jak o drugie.

— Ja jeszcze jak ja,— wzdychając myślała Marynia,— chociaż z babcią, lecz jako tako biedę przetrwać mogę. Życie kosztuje nas tak mało... kobiéty, obejdziemy się byle czem. Zresztą w kobiecych gałgankach znajdzie się coś do zastawu... ot, choćby moja wełniana sukienka. Więc jakoś to się przecierpi. Będzie dobrze jak złe minie. Ale ten nieszczęśliwy pan Paweł... Jadać musi na mieście, a na mieście wszędzie drą. Mężczyzna, potrzebuje więcéj. Gdyby się choć poratował zastawem, ale co biedny chłopiec może miéć?... A tu jak na złość nie ma i nie ma roboty. O! mój Boże, czy już wszystko na tym świecie przepisane!...

Pan Paweł tym czasem w swéj komórce, licząc coraz bardziéj zmniejszającą się kassę, wzdychał i mówił sobie:

— Co to będzie? co to będzie!... Już od dwóch dni na obiad nie chodziłem.... żywię się byle jak... no, zresztą mnie z tem łatwiéj. Przywykłem do biédy, zahartowałem się, jestem mężczyzną, potrafię się obejść czem bądź. Ale ona, ale ona biedaczka!.. Takie to delikatne!... broń Boże choroby! A tu biéda, i babka kaleka i roboty nie ma, i nie... A tak to się wlecze i wlecze, jakby już wszyscy mieli wszystko poszyte w Warszawie. O! mój Boże, mój Boże! gdybym to ja miał pieniądze, zaraz bym kupił całą sztukę płótna i wszystko dał jéj do szycia... Że też to święta ziemia nosi takich ludzi, którym nie brak na webę i na materje nawet, a żałują sobie co sprawić!

Przyszła niedziela, a z nią jeszcze więcéj wolnego czasu, z którym nie bardzo było co robić. Obowiązkowa robota, choć bezpłatna, odpędzała myśl o biedzie, lecz czém ją odpędzić w niedzielę?...

Po nabożeństwie u świętego Jana, Marynia powróciła jednak do domu, czegoś bardzo szczęśliwa i wesoła. Przebiegła szybko koło okienka pana Pawła, rzuciła w nie okiem z ukradka, i jakby uradowana, że go nie było pobiegła coprędzéj na górę.

Powodem tego ukontentowania była myśl dziwna, którą sobie nabiła głowę, a że ta myśl przyszła jéj w kościele, więc ją uważała jako natchnioną od Boga.

Któż powié, czy jéj pan Bóg nie natchnął w istocie?...

Zdjęta litością nad przykrém położeniem pana Pawła, powzięła, z poświęceniem na jakie tylko miłość zdobyć się może, postanowienie, które tylko biéda, najlepiéj rozumiejąca biédę cudzą podyktować jéj mogła.

Zapominając o saméj sobie postanowiła dostarczyć roboty panu Pawłowi.

Zrazu myślą jéj było rozpytać się u pań, które jéj zwykle dostarczały zatrudnienia, czy nie mając nic do szycia, nie mają za to czegoś do przepisywania. Prędko jednak odrzuciła tę myśl. Nie mogła powiedzićć, że sama przepisywać zamierza, kobiece bowiem jéj pismo, jakkolwiek dosyć ładne, nie było tem, czém być powinna ręka biegłego kopisty; wyznać zaś ludziom obojętnym, że szukała roboty dla mężczyzny, dla znajomego, sąsiada, chociażby nawet skłamać, że ten sąsiad, czy znajomy, jest bratem ciotecznym, albo wujem, znaczyłoby to zostawić otwarte pole językom ludzkim, do złośliwych plotek i ubliżających przypuszczeń, postawić się w dwójznacznem położeniu i narazić na szwank, to dobre imię i ten szacunek u ludzi, jaki nieskazitelném życiem pozyskać sobie umiała.

Potrzeba było innéj szukać drogi, a że kto chce i kocha, zawsze wynajdzie to, co mu miłość znaleść każe, więc Marynia wynalazła tę drogę.

— Rubel lub półtora nie zubożý mnie znów tak bardzo,— mam co zastawić. Wełniana sukienka kosztowała mnie przeszło 6 rubli, miałam ją ledwie kilka razy... jak zastawię, dostanę najmniéj pięć. Choćby mnie to i dwa ruble kosztować miało, zawsze zostanie mi jeszcze trzy. Będzie z czego żyć najmniéj tydzień. A przytem mamy jeszcze połosma złotego. Robota może jutro się trafi, bo zresztą na szycie nie ma wakacji, a on powiada, że wakacje sądowe są główną przyczyną jego biédy. Wszystko zważywszy, w porównaniu z nim, jestem magnatką... grzechem byłoby nie dopomódz. Nie ma co marudzić... będzie miał robotę.

To powiedziawszy, otworzyła do kuferka, zaczęła w nim przewracać i wydobyła z samego prawie spodu dosyć spory zwój papierów.

Wydobyła, rzuciła na nie okiem i znów stanęła zamyślona.

— Tak!.... piękne rzeczy!... a tobym się złapała.... rzekła do siebie ze smutkiem,— toż on z nazwisk, jakie tu są, może się wszystkiego domyśleć.

Patrzyła ze łzą w oku na papiery, szukając w myśli sposobu zaradzenia temu niespodziewanemu nieszczęściu, machinalnie nareszcie przewracać je zaczęła, nie patrząc na nie, tylko na nazwiska.

Przewróciła kart kilkanaście i jakoś ją uderzyło, że ani razu nie natrafiła na swoje rodzinne nazwisko.

Wtedy dopiero zrozumiała, że się obawiała naprożno. Nazwisko jéj nie mogło się znajdować w aktach i dokumentach, które miała w ręku, były to bowiem papiery jéj matki z czasów pierwszego zamężcia, Marynia zaś, była córką z drugiego męża.

— Miałam się téż czego kłopotać!— pomyślała,— tylkom sobie czasu namarnowała, a on tymczasem może przyszedł i trudno będzie zanieść do kapitanowéj.

Zbiegła lekko ze wschodów, zręcznie rzuciła okiem w szyby pana Pawła, a przekonawszy się, że jeszcze nie wrócił, cofnęła się na górę, jakby przypominając sobie o czemś, wzięła z sobą papiery, ukryła je starannie pod fartuszkiem i nie tracąc chwili zeszła na drugie piętro.

— A nie mówiłam ci?.... nie mówiłam, moja duszko,— rzekła, jak tylko ją spostrzegła pobożna wdowa,— że ludzie zawsze źle gadają!... wiecznie bajki wierutne!... Otóż konduktorowa była dzisiaj w kościele ze swoją książką... była, była!... Sama ją widziałam... siedziałam za nią o kilka ławek... u reformatów. Nie do parafji chodzi, to prawda, ale chodzi.... mogę zaświadczyć... zresztą tam był odpust.... Zapuściłam woalkę, żeby mnie nie poznała. Modliła się na swojéj książce, bardzo przykładnie. Tylko, że w czasie ewangielji przyszedł jakiś elegant, stanął koło jéj ławki, szepnął jéj coś do ucha i cichaczem wyszli oboje. Nie mąż... bo mąż wyjechał. Jakiś kuzyn pewno, jak myślisz?

— I ja myślę, że kuzyn,— odrzekła dobroduszna Marynia,— pragnąc co najprędzéj od téj pogadanki o bliźnich, przejść do swojego interesu.

— Ha! ha! ha! kuzyn!... roześmiała się wdowa,— jakażeś ty naiwna, moja Maryniu... Ale chodzi do kościoła, nie ma co mówić, chodzi! Mogę stanąć za świadka jeśli potrzeba.

— Przepraszam panią kapitanowę,— rzekło nieśmiało dziewczę,— ja chciałam pani prosić o coś....

— O cóż to, moje dziecko... co chciałam mówić?... ta książka z klamrą wyjść mi z głowy nie może... ale, prawda, masz interes, jakiż to?...

— Widzi pani,— zaczęła Marynia, rumieniąc się jak wiśnia, bo wiedziała, że nie zbyt zgodne z prawdą mówić zamyśla rzeczy,— widzi pani, proszono mnie, żebym te papiery dała do przepisania. Komuż ja dam, proszę pani, jeśli nie temu panu z czwartego piętra, co przepisuje?....

— Panu Pawłowi?

— Tak jest. Otóż jakośby to było lepiéj, żebym to nie ja dała, tylko żeby mu pani zaproponowała tę robotę, ot tak, niby od siebie, nic nie mówiąc, że ja wiem o tém. Jeżeli ma czas...

— Jeżeli ma czas,— podchwyciła kapitanowa,— albo ty nie wiesz Maryniu, że ma czasu aż nadto, kiedy go tu tak często u mnie spotykasz, skarżącego się na brak zajęcia...

— Ach! prawda,— rzekło zawstydzone dziewczę.

— No i ileż dają za to przepisywanie?— spytała wdowa.

— Tyle jak zwykle bierze. Jak przepisze niech pani powié co się należy, pani go przecież zna, że on zedrzéć nie będzie chciał.

— A kto zapłaci?...

— Pani mi powie, co się będzie należało, to już ja odbiorę pieniądze i dam pani.

— Tylko czy pewno zapłacą? żebym się nie wstydziła potem za ciebie.

— Ale najpewniéj; to jedna pani, co mi zawsze daje dużo roboty, ale teraz nie ma nic do szycia.

Domyślność kapitanowéj nic więcéj nie wywnioskowała z tego pośrednictwa, tylko to, co już przebiegłéj wdowie oddawna było wiadomem, to jest: że Marynia kochała pana Pawła. Żeby wpaść na domysł, iż robota dostarczona panu Pawłowi, była szlachetną pomocą dziewczęcia, które samo nie miało nic i drżéć musiało o jutro, trzeba było cokolwiek lepszego o ludziach pojęcia, niż je miéć mogła kapitanowa, w oczy ze wszystkiemi serdeczna, a za oczy przywykła do upatrywania we wszystkich złéj strony.

Wkrótce pan Paweł powrócił do domu, i niedługo przez posługującą kapitanowéj dziewczynę zawiadomiony został, że jest do niego interes.

Kapitanowa opowiadziała mu kilkanaście drobnych ploteczek domowych, a wreszcie dała mu robotę, mówiąc, że ją dostała od jakiéjś swojéj znajoméj i zastrzegając, żeby przepisał czysto, wyraźnie, a nie drogo.

Pan Paweł oznaczył cenę na dwa ruble i zobowiązał się wykończyć robotę na czwartek.

Powróciwszy do siebie bohater nasz nie był tak szczęśliwym, jak mu się zdawało, że będzie, gdy mu się robota dostanie.

— Dobrze, ja mam robotę,— myślał sobie,— ale ona!... Tydzień już blisko jak jéj igła rdzewieje!... Martwi się biédna, oczy miewa czerwone od płaczu... Nie trzeba nic więcéj tylko jeszcze kilka takich dni okropnych, a zapadnie... zacznie pluć krwią... suchoty!... śmierć!!... Och! Boże, Boże, żeby to zamiast mnie do pisania, jéj kto co dał do uszycia, dopierożbym skakał z radości, chociażbym nawet wiedział, że mi przez cały tydzień chlebem i wodą przyjdzie żyć.

Siadł na łóżku w swojéj komórce i zadumał się...

— A gdyby się z nią podzielić tym zarobkiem?... Tylko jak?... Dać ani myśléć, o pożyczce nawet słuchać nie będzie chciała. Już ja ją znam. Chyba jaki podstęp wynaleść.... ale jaki?....

Tu przyszło panu Pawłowi tożsamo co Maryni.

— Mógłbym jéj dać co do roboty, a jak uszyje, z tych dwóch rubli zapłacić. Zawszeby ją poratowało, choć rubel, albo półtora. Ja nawet o pół rublu mogę wytrwać Bóg wié jak długo, a zresztą kiedy się jedna trafiła, to się i druga nadarzy robota. Ona nie ma zajęcia, a ja mam, pomoc braterska jest moim obowiązkiem. Trzeba jéj dać co do szycia.

Wstał z łóżka, stanął przy stoliku, jedną ręką wsparł się na nim, drugą na poręczy krzesełka, i w téj postawie rzekł do siebie:

— Tak!... dać jéj co do szycia... ale co?...

Był to zaprawdę szkopuł nielada. Chcąc szyć, trzeba miéć materjał, a materjał jest droższy od roboty saméj. Cóż było począć?

Długo myślał pan Paweł, aż wreszcie rozwiązał tę trudność.

— Mam!... niech mi wstawi gorsy, uszyje mankiety i kołnierzyki do dwóch koszul.

Odrazu myśl w czyn zamieniając, poczciwy kopista zabrał się do przeglądu swojéj bielizny. Nie było jéj tak wiele, jak zwykle u biednego chłopaka, lecz znalazł kilka koszul świeżo upranych.

— Te koszule,— rozważał w myśli,— mają gorsy doprawdy według jakiéjś starożytnéj mody, jak żyję nie widziałem takich koszul. W istocie dając je do przerobienia, nie jéj, ale sobie robię przysługę... te gorsy szpeciły całość. Płótno doprawdy wcale cienkie, a ja przecież jako kandydat na urzędnika powinienem się ubierać porządnie. Daléj... do dzieła. Będę miał choć dwie eleganckie koszule. Jak zostanę aplikantem, będę mógł w nich wystąpić przed kolegami.

Do wykonania swego zamiaru potrzebował pan Paweł nożyczek. Była to wyborna sposobność zamówienia się na piąte piętro, nie korzystał z niéj jednak, tylko zapukał do sąsiadki, właścicielki czterech piesków, pożyczył ich od niéj i wróciwszy do siebie, wyciął jak umiał gorsy od dwóch koszul, poobcinał kołnierzyki i mankiety, resztę zawinął w papier i wybiegł do kapitanowéj.

Już był na trzeciem piętrze, gdy zatrzymał się jak wryty.

— Ale ba!— pomyślał,— żeby mi wstawić gorsy, dorobić kołnierzyki i mankiety, potrzeba miéć płótno. Ona nie ma pieniędzy, za cóż kupi?... Ja nie mam także... co tu począć?... Darmo tylko pociąłem sobie dwie koszule. Masz djable kaftan!....

Wrócił do siebie taki smutny, taki smutny, że gdyby go spotkała Marynia, toby się rozpłakała chyba.

Znów siadł na łóżku, załamał ręce i medytował długo, długo.

Zawsze to jest nie źle pomyśléć, bo się nareszcie coś wymyśli. Tak też i pan Paweł wymyślił lekarstwo na swój kłopot.

— No i było się tu czego martwić,— zawołał,— jakby na to już żadnéj nie było rady!... Potrzeba płótna, to niech potnie trzecią koszulę!...

Lekarstwo było w istocie skuteczne, choć tym sposobem szczupła garderoba pana Pawła umiejszyć się musiała o jedną sztukę. Nie żałował on jednak téj ofiary, owszem uradował się pomysłem, który go stawiał w możności dopomożenia kochance.

Dołączywszy trzecią koszulę pośpieszył na trzecie piętro.

— A! pan Paweł.... jeszcze raz.... cóż nowego?... zapytywała kapitanowa.

Kopista zaimprowizował na prędce historją, o jakimś swoim koledze biurowym, który go prosił o oddanie koszul do szycia. Podobnież jak Marynia utrzymywał, że nie wié komuby innemu oddać, jak téj pannie z piątego piętra, i podobnież jak ona prosił, żeby go w tém wyręczyła kapitanowa, zachowując najściślejszą tajemnice jego udziału w téj sprawie.

— A to się kochają gołąbki,— pomyślała kapitanowa, a to pamiętają o sobie!... Zaczyna mnie doprawdy serdecznie bawić ten romans, w którym stron obu jestem powiernicą.

Ciekawa jak dalej pójdą miłostki dwojga sierot, wdowa przyrzekła tajemnicę i postanowiła w duchu, że jéj dochowa święcie, ażeby sobie zjednać obustronne zaufanie.

Wychodząc od kapitanowéj pan Paweł był szczęśliwy i promieniejący. Pobiegł śpiesznie do swojéj komórki i jakby się z swém szczęściem ukryć potrzebował, schował się w najciaśniejszym jéj kąciku i używał w całéj pełni tego zadowolenia, jakiem napawa świadomość, że swój skromny kawałek chleba, podzieliło się ochoczo z istotą biedniejszą, a ukochaną.

Pan Paweł dumnym był z siebie i miał do tego słuszne prawo.

Wkrótce potem posługaczka pani kapitanowéj poszła na piąte piętro po Marynię, a w kilka chwil późniéj dał się słyszéć ów szelest lekkich kroków dziewczęcia, który zazwyczaj odrywał pana Pawła od pracy. Tym razem przecież nasz bohater, lubo spodziewał się przejścia Maryni, nietylko nie wyszedł do sieni, nietylko nie pokazał się w okienku, lecz ukryty w swoim kąciku tamował oddech, żeby Marynia nie domyśliła się jego bytności. Bał się biedak, żeby po jego twarzy nie odgadła, iż wie o trafiającéj się dla niéj robocie.

(Dokończenie nastąpi)

ADWOKAT SZNOBELES.

powieść Juljusza Gundling, streszczona z niemieckiego.

(Dokończenie).

Schneeball stał długo jakby zdrętwiały, podczas kiedy Sara zmęczona wysileniem, skłaniała głowę na poduszki sofy. Wkrótce jednak mąż się opamiętał, skierował bystre spojrzenie na żonę, która stanowiła jedyne szczęście jego na ziemi, a płomień gniewu przebiegł mu po wszystkich rysach twarzy, na wspomnienie, dopiero co słyszanego zwierzenia, lecz po chwili rysy jego przybrały wyraz boleści i odezwał się drżącym głosem.

— Żałujesz mnie Saro?

Ona spojrzała na niego, i zrywając się zawołała namiętnie.

— Nie tak Schneebalu, nie obchodź się ze mną z taką dobrocią—tém mnie zabijasz! Pogardzaj mną, nienawidź mnie, depcz mnie nogami, będę to sobie uważać za szczęście, bo upatrzę w tem pokutę za winę moją.

— Nie mogę cię nienawidzieć, nie mogę tobą pogardzać Saro, odrzekł złamanym głosem.

— Absalonie zawołała Sara, a łkanie mowę jéj przerwało, rzuciła się na kolana przed mężem, wylewając łez strumienie.

— Ani tobą nie pogardzam, ani cię nie nienawidzę, lecz też przebaczyć ci nie mogę, mówił mąż. Nie wiem sam czem jeszcze możesz być dla mnie, może już tylko samem wspomnieniem. Mogę to samo powiedzieć, co tyś powiedziała dziś o sobie. Gdyby nie te straszne twoje zwierzania, o których myśl sama mnie odurza, byłbym ci powiedział: chodź do mego domu Saro; jest to dom ubogi, ale muszą ci się podobać jego ściany, kiedyś je uporem swoim ogołociła. Ja nie pytałem się o powód tego uporu, a tyś sama zdarła zasłonę z oczów moich. Nie mogę więc wezwać cię, abyś szła zemną, bo toby wyglądało, że cię jeszcze kocham, że cię jeszcze szanować mogę. Ja sam nie wiem czy mógłbym cię kochać, i może będziesz tylko dla mnie tyle znaczyła, co jakiś przemocą zdobyty przedmiot, a tego tryumfu wyrzec się nie mogę, bo on może jedyne moje dobro stanowi. Obraziliście mnie w niesłychany sposób, dziś jeszcze twój ojciec chciał cię odkupić odemnie. Chciał mi na stół wyliczyć 30 tysięcy guldenów, abym się ciebie wyrzekł.

— Ja temu nie winna, rzekła mu Sara— pierwszy raz od ciebie o tém słyszę.

— Wierzę ci— zadasz więc kłamstwo kupieckiéj propozycji i pójdziesz ze mną.

— Tak— chcę z tobą iść Schneeballu, nie jako żona twoja, ale jako twoja sługa. Cztery lat ciężko obrażałam ciebie, chcę teraz służyć ci przez całą resztę życia w pokorze i ubóstwie. Chcę na twardym progu twego mieszkania sypiać, strzegąc snu twego i oddalając zmartwienia od twojéj posiwiałéj głowy. Niech mnie już nikt nigdy twoją żoną nie nazwie, niech mnie wszyscy z pogardą i szyderstwem palcem wytykają, abyś mnie ty cierpiał przy swoim boku.

Było coś tak rozdzierającego w słowach i głosie Sary, że każdy inny byłby się rozrzewnił, ale Schneeball przemógł wrażenie, które go opanowywać zaczynało i rzekł:

— Kiedy masz wstąpić do mego domu Saro, to wstąpisz jako żona. Cztery lata walczyłem o to, dziś wprawdzie tak rzeczy stoją, że nie wiem— czy zdobyte dobro, ma dla mnie wartość, jaką mu przypisywałem. Kto mi zaręczy, że twoja przeszłość odpychać mię nie będzie? Kto wie, czy oddawna na wszystkich ulicach, życie twoje nie stało się przedmiotem szyderskich powiastek, które mnie pogardą okryją: «Patrzcie na tego słabego człowieka, będą mówić, cztery lata go oszukiwała, cztery lata go lekceważyła, a jak się tylko zwróciła z dobrém słowem do niego, otworzył jéj dom i serce swoje». Nie, nie, ciągnął daléj z wzrastającą żywością, byłem obrażony, ale się upokorzyć i wyszydzać nie dam. Poprowadzę daléj proces rozpoczęty, otrzymam wyrok sądu, a skoro stanie czarno na białem, że żona wrócić do mnie powinna, wtedy przyjdę z papierem w ręku i będę tego wymagać. Wtedy wstąpisz w dom mój, jako rzecz prawnie mi przysądzona, z którą wtedy będę mógł postąpić jak mi się podoba; zatrzymać ją, albo wygnać haniebnie z moich progów, jak na to zasługuje.

Sara podniosła się i rzekła pokornie: masz słuszność— postąpisz ze mną jak ci się podoba. Masz słuszność!.... Gdybyś mnie teraz wziął z sobą do domu, wyglądałoby to na przebaczenie, a czyż podobna, żebyś ty mi przebaczył?.... Gdybyś mnie zabrał z sobą, to byłoby uszczęśliwić mnie, a czyżem ja tego warta? Idź więc i zostaw mnie samą. Tak, nie będę ci się już opierać, a więc proces

prędko się skończy, na twoją korzyść. Nie upłynie tydzień, a będziesz mógł wyrokować nad moim losem nie według miłosierdzia, ale według tryumfu zwycięzcy.

Mąż spojrzał na jéj postać pognębienia pełną i zdawał się wahać.

— Do zobaczenia, Schneeballu.... w twoich progach!...

On się szybko odwrócił, nacisnął kapelusz, jakby nim chciał oczy zakryć i wyszedł. Ona patrzała za nim długo, a z jéj piersi zdawał się wyrywać głos, wołający go po imieniu, lecz przemogła się; jéj ręce, które się ku niemu wyciągały— zwisły, z piersi zaś wydobyły się ciche wyrazy: zapewne tak jest najlepiéj—jestem w jego ręku i może ze mną postąpić jak mu się podoba.

Ojciec i córka.

Sara od czasu swéj rozmowy z mężem, nie mogła już znieść ojcowskiego domu, tak jéj pilno było wstąpić w życie obowiązków, które opuściła, w tak naganny sposób. Spoglądała z pogardą na marmury, brązy i aksamity mieszkania, co wszystko przed tem zdawało się ją uszczęśliwiać, teraz zaś tęskniła za nagiemi ścianami, wśród których żył człowiek, jakiego dziś uważała za męczennika lekkomyślności swojéj. Tęskniła za chwilą powrotu w te progi, których nigdy opuścić nie była powinna, za ubóstwem obok męża, którego innemi zupełnie dziś widziała oczyma. Chwilami wątpiła, że ją przywoła do swego boku, lecz wracała znów wiara, że przywoła z pewnością, on ją kocha jeszcze mimo wszystko, odgadła to, a czy podobna, aby w parze z tą miłością, szła srogość.

Gdy wróciwszy do domu, zapytała się o ojca, odpowiedziano jéj, że wyszedł o szóstéj po południu i jeszcze nie wrócił. Posłała do kantoru, ale nikt go nie widział; wybiła dziewiąta, dziesiąta, a nie wrócił jeszcze. Sara odpokutowała wszystkie męczarnie, których mąż jéj niegdyś doznał, gdy oczekiwał na nią owego pamiętnego wieczoru. Lękała się o ojca, czy mu się jakie nie przytrafiło nieszczęście, przytem trapiło ją, że nie może na razie wypowiedzieć mu tego, co już zdawna w jéj duszy, jako niezłomne postanowienie, dojrzało. Przepędziła noc bezsenną, a gdy nad ranem ojciec nie wrócił jeszcze, kazała go szukać. Co było najosobliwszego, że nikt nawet z domysłu, powiedzieć nie mógł, dokąd Kajfur poszedł w wilją o szóstéj godzinie. Jeden tylko z komisantów kantoru twierdził, że woźny sądowy, przyniósł jakieś wezwanie, które Kajfur sam odebrał. Zdawało mu się nawet widzieć, że ręka pryncypała drżała przy rozłamywaniu pieczęci, że zbladł i po przeczytaniu wkrótce wyszedł z kantoru.

Jeszcze przed południem wyjaśniła się tajemnica; chociaż Kajfur żadnéj o tém nie dał wieści, jednak po całem mieście zaczęto mówić, że został zatrzymany w kryminale, ale za cóż go zatrzymali pytał się ten i ów. Ha! musiał robić jakieś pieniężne interesa, takie wielkie o których nam się nawet ani nie śniło, brzmiała odpowiedź. Miał on podobno ze sto tysięcy u ludzi na 30% procentu. „Biedny Kajfur! westchnął nie jeden, pomagał biedniejszym na niewielki procent, a teraz siedzieć musi!"

Domownicy Kajfura naradzali się między sobą, jak uwiadomić jego córkę, nikt przemówić nie miał odwagi, ale wkrótce narady pokazały się bezskuteczne, jakiś szmer na ulicy oznajmił, że się dzieje coś niezwykłego. Wkrótce też ludzie wołać zaczęli: co to też mówiono o uwięzieniu Kajfura, patrzcie on sam w swojéj osobie idzie do domu. Rzeczywiście Natan szedł, jak przez rózgi, ścigany zewsząd ciekawemi spojrzeniami. W kantorze równie zdziwione przywitały go oczy, lecz on przeszedł nie patrząc i udał się na górę do córki, która wybiegła naprzeciw niego.

— Gdzieżeś ty był ojcze? zapytała tkliwie. On zaś marszcząc brwi pociągnął ją do dalszych pokojów, i zapewniszy się, że ich nikt nie słucha, szepnął: byłem w kryminale uwięziony.

Sara przerażona patrzyła jednak na ojca wątpiąc.

— Chcesz żebym ci to jaśniéj powiedział. Schneeball wsadził mnie do kryminału.

— Schneeball? zapytała Sara niepewnym głosem.

— Tak jest, Schneeball. Nie ma wątpliwości, że się zmówił z Dawidem, nie darmo to rzucił mi wczoraj szydercze napomknienia, o zeznaniach Dawida. Nie był to domysł; gdy mi o tém mówił, nie mógł jeszcze wiedzieć o niczem. Kto wié, czy nie on go sam namówił.

— Ktoż jest ten Dawid?

— Jest to młody człowiek, którego używałem w interesach będących cokolwiek w kolizji z przepisami prawnemi.

— A to Dawid Knorpeles, czyżeś nie wiedział, że on z Schneeballem przez matkę spokrewniony.

— Spokrewniony? zawołał Natan, zkądże wiedzieć miałem. Teraz wyjaśnia mi się ta szatańska intryga. Wielki Boże! jestem zgubiony.... a jeszcze wczoraj chciałem mu dać trzydzieści tysięcy gotówką!....

— Za cóżeś chciał mu dać trzydzieści tysięcy, mój ojcze? zapytała Sara drżącym głosem.

— Za cóż? jeżeli nie za to, żeby raz skończyć sprawę, która jeszcze teraz na jego korzyść zwracać się zaczyna.

— I odmówił ci? przerwała Sara, rumieniąc się.

— Odpowiedział mi szyderstwem i radził zatrzymać pieniądze, na zapłacenie kary, na jaką mnie skażą jako lichwiarza. Nikczemnik!...

— Nie chciał więc odprzedać praw swoich? szeptała Sara z promieniejącą twarzą, lecz stary nie uważał na te jéj słowa i ciągnął daléj.

— Kiedy ja chciałem go uczynić bogatym, on mnie wtrąca w przepaść, z któréj się nie prędko wydobędę. Ale zapłacę ja to jemu jeszcze,— życie gorzkie mu uczynię. Niech się nie cieszy, że w pierwszéj instancji zapadł korzystny dla niego wyrok. Ja mu pokażę, że proces nie cztery, ale pięć i dwanaście lat potrwać może. Rozpocznę go na nowo i nie będę żałować pieniędzy. Poczeka jeszcze, nim nad nami tryumfować będzie.

— Przyznaj ojcze, czyśmy na co lepszego zasłużyli? Cztery lat dokuczamy mu, doprawdy, żeby to wystarczyło, aby gołębia na wilka zamienić. Daliśmy mu dowody, że go nienawidzimy, cóż dziwnego, że on nam nienawiścią odpłaca. Widział w tobie nieprzyjaciela i zapragnął cię zwalczyć wszelką możliwą bronią, co zaś do mnie, nie mogę powiedzieć, aby postępowanie jego było nikczemne. Chciał mnie odzyskać i za wszystkie skarby świata nie zezwolił na zrzeczenie się praw swoich.

Kajfur spojrzał na córkę zdziwiony, własnym uszom wierzyć nie chciał.

— Ty! ty córko moja, Saro, bronisz człowieka, który jest moim i twoim nieprzyjacielem.

— Będę szczęśliwszą w jego domu, chociażby mi nawet miał dokuczać, niżeli tutaj pozostając z nim w walce.

Zdumienie Kajfura wzrastało. Zawołał porywczo: Czyś ty przy zdrowych zmysłach, moje dziecko, chcesz teraz układów ze Schneeballem, kiedy on na mnie taką hańbę sprowadził.

— Nie chcę się układać, odpowiedziała stanowczo Sara, patrząc ojcu śmiało w oczy, chcę tylko w najnaturalniejszy sposób, wrócić do męża mego Absalona Schneeball.

Kajfur odskoczył jakby go żmija ukąsiła, chciał coś powiedzieć, ale mu słów brakowało. Wreszcie gwałtownemi giestami, dając znać o oburzeniu swojem, przybiegł do Sary, położył jéj rękę na głowie i rzekł: niechże zobaczę, czy twoja głowa rozpalona, czy nie masz gorączki, bo to nie podobna, żebyś była przy zdrowych zmysłach. Chcesz wrócić do męża, wrócić kiedy się właśnie cztery lata o to procesujemy, żebyś nie wracała. Czegożeś go porzucała, kiedy teraz chcesz wrócić do niego?

Bolesny uśmiech przebiegł po ustach Sary.

— Mój ojcze, zdarzają się rzeczy, z których sobie sami sprawy zdać nie możemy. Kiedyś mi się wtedy o to zapytał, gdym tak niegodnie z domu wyszła, nie umiałam ci dać jasnéj odpowiedzi. Wiedziałam tylko, że mam wstręt do niego, teraz gdy mi się pytasz, czemu powracam— rzeczy zupełnie inaczéj stoją. Dziś mogę ci znowu w sposób nieokreślony powiedzieć, że mnie coś nieprzepartego ciągnie, ażeby moje odejście odpokutować moim powrotem.

Ojciec załamał ręce.

— Na to się więc przydały, wszystkie koszta, kłopoty procesu, żeby stanąć na tem miejscu, gdzieśmy byli być powinni tego wieczora, gdym przed czterema laty namawiał cię do powrotu. Ale przyznaj, to nie podobna, żebyś to wszystko mówiła na serjo. Czy możesz mi zadać takie kłamstwo, wtedy, kiedy ja ofiarowałem mu summę pieniędzy, ażeby się ciebie wyrzekł.

— Nie upoważniałam cię mój ojcze,— powiedziała Sara chłodno,— do odkupienia mnie od męża za 30 tysięcy guldenów.

— Słyszycie! wykrzyknął Kajfur, swój gniew na córkę przenosząc, ona mnie nie upoważniała! a o cóżże się ty kiedy troszczyła, czyż nie zwaliłaś na mnie całego ciężaru procesu, nie prosiłaśże żeby cię nie nudzić opowiadaniem jego szczegółów, nie zapewniałaśże, że ci wszystko jedno, jak go prowadzę, byleś tylko nie potrzebowała wracać do męża? Kiedy ja prowadziłem tak rzeczy, żeś była od niego oddalona przez cztery lata, że sądziłem działać zgodnie z twojem usposobieniem, kiedym mu ofiarował dla spokojności, summę pieniężną, ty teraz przeciwko mnie stajesz?— Odetchnął i mówił daléj: Ale zapowiadam ci, że do niego nie powrócisz; będę proces daléj prowadził, będę apelował do najwyższéj instancji, a chociażbym nawet przegrał, to nie wrócisz, zbiorę wszystkie pieniądze, i ucieknę razem z tobą za granicę.

Sara dała się ojcu wygadać, a potem odpowiedziała spokojnie.

— Powrócę do mojego męża Absalona Schneeball, i ty już ojcze ani jednego pióra nie poruszysz, na dalsze prowadzenie procesu.

Kajfur zapienił się ze złości i ciskając srogie spojrzenie na córkę, zawołał: zostaniesz, zostaniesz u mnie pod błogosławieństwem!

— Nie mogę ci być posłuszną mój ojcze, odpowiedziała pokornie Sara, moim najpierwszym opiekunem jest teraz Absalon Schne-

eball, mój mąż, po nim dopiero, ty następujesz. Długo ci byłam posłuszną ojcze, a Absalon był samotnym długo, że tak już dłużéj pozostać nim nie może. Ty, jako mój ojciec, nie powinieneś mi brać za złe, że powracam do obowiązku, którego nigdy opuszczać nie byłam powinna.

Nie uznaję tu obowiązku, boś go zerwała, Schneeball stał nam się obcym.

— Tobie, ale nie mnie, powiedziała Sara.

— Tak tobie jak mnie. Ja się poświęciłem dla ciebie, podejmując się kłopotów procesu, teraz wymagam, abyś ty co dla mnie zrobiła. Spodziewam się, że już nie zechcesz, abym uwierzył historyjce, że jeszcze go kochasz.

— Kocham go jak mojego męża, odpowiedziała Sara ze stałością.

— Saro, wołał ojciec, marszcząc brwi, nie doprowadzaj mnie do szaleństwa.

— Nie będziemy daléj oponować, mówiła daléj niezachwianym głosem, zobaczemy jak Schneeball daléj postąpi!....

— Jak on postąpi, to zgadnąć łatwo. Upoważniony przez ostatni wyrok, wezwie cię, a ty musisz pójść do niego. W taki sposób postąpi jeżeli będzie grzecznym,— ale człowiek który swojego teścia do kryminału wsadza, nie będzie żadnych zachowywał względów, i nie zdziwię się, gdy, skoro się za trzy dni dobrowolnie nie stawisz, sprowadzi cię za pośrednictwem policji.

— Nie doprowadzę go do téj ostateczności, gdyż sama pójdę.

— Ani mi się waż!— krzyknął Kajfur.

Sara w milczeniu ruszyła lekko ramionami.

— A gdy to uczynisz, to cię nie uznaję więcéj za swoje dziecko, odpycham cię, wypędzam i wydziedziczę.

— Ha! wtedy będę tak uboga jak on nim został z mojéj przyczyny i nie przyniosę mu nic więcéj, tylko pokorne serce.

— A więc ruszaj do niego i zostaw mnie, ofiaruj mu twoje serce pokorne, i jęcz pod jego drzwiami, dopóki ci nie otworzy, podziel z nim nędzne mieszkanie, słuchaj jego wyrzutów, i znoś gniew i uniesienia. Przy torturach nieustających wymówek, cierp głód i nędzę, niech od rozpaczy włosy twoje posiwieją, słuchając planów jego do zgubienia twojego ojca, pomagaj mu stawić mnie pod pręgierzem, on może wtedy przez wdzięczność trochę mniéj pogardy ci okaże. Gdybyś jednak znieść nie mogła tych męczarni nieustających i dusza twoja tęskniła za wybawieniem, nie wracaj już do mnie, drzwi moje są dla ciebie na zawsze zamknięte, nigdy cię przeciw niemu zasłaniać nie będę.

Sara wysłuchała spokojnie pełnych uniesienia słów ojca i rzekła.

— Nie będę potrzebować, żeby mnie kto przeciw niemu zasłaniał. Poznałam serce Schneeballa, on mi nic złego nie zrobi, i gdyby się nawet to wszystko sprawdziło, co mi przepowiadasz ojcze, gdyby mnie miał podeptać z pogardą i codziennie dręczyć wyrzutami swojemi, to wszystko od niego zniosę. Raz tylko porzuciłam go i gorzko to opłaciłam; już drugi raz nie odejdę.

— A nędza?— zawołał Kajfur.

— Zniosę ją, niech mi ona ułatwi zasłużoną pokutę.

— Biada mi biada, moje dziecko oszalało, zawołał ojciec i wyszedł spiesznie.

Sara patrzyła z boleścią za odchodzącym, a potem rzekła półgłosem.

— On mnie nie rozumie, on zrozumieć mnie nie może,— ale Schneeball musi mnie zrozumiéć!

Zakończenie.

Sara zrzuciła kosztowną odzież, którą nawykła podnosić swe przyrodzone wdzięki; w prostéj i skromnéj sukni stała poważna i zdecydowana przed ojcem i patrzyła nań pełnym rezygnacji wzrokiem.

— Wracasz więc koniecznie do Schneeballa? pytał.

— Wracam do mego męża.

— Nie mogę zatrzymywać cię, kiedy powiadasz, że chcesz i musisz wrócić. Ale nienawidzę go, tak jakeś go ty niegdyś nienawidziła i nie mogę być świadkiem jego tryumfu. Ty wracasz do niego, a ja na zawsze opuszczam Bolcen. Niech nie doczeka téj radości, żeby mnie zniszczyć na majątku, karami, przeznaczonemi na lichwiarzów.

Zrealizowałem znaczną część mego majątku i wynoszę się do Hamburga. Wątpię więc żebyśmy się już w życiu widzieli.

— Ojcze, ojcze jakie mi zadajesz męczarnie! jęknęła Sara, pochylając głowę na jego piersi.

— Nie masz powodu płakać córko moja, jesteś sama tworczynią twego losu, a przy mojéj nienawiści do twojego męża, nie może być inaczéj, tylko musisz między mną a nim wybierać. Rozstrzygnęłaś na jego korzyść, to dobrze, inny ojciec byłby może cały gniew przeniósł na ciebie, byłby cię wydziedziczył, ja tego nie uczynię. Uważam cię zawsze jako dziecko, ale wszystkie stosunki między nami ustać muszą, dopóki on żyje. Gdyby on umarł, wtedy mój dom będzie dla ciebie otwarty, możesz doń wrócić, jeżeli zechcesz, i nawet rościć sobie prawo do mego majątku. Gdybym ja miał pierwéj umrzeć przed Schneeballem, to już mój testament gotów; zostaniesz dziedziczką mojego majątku, wtedy dopiero, kiedy on oczy zamknie. Nie chcę, ażeby on grosz z mojego majątku swoim nazwał. Część którą masz po matce, zaraz będzie oddaną, zobaczemy, jak ci z tak

niewielkim majątkiem będzie miło, przy ubogim mężu. Wprawdzie serce mi się kraje, gdy pomyślę o biedzie jakiéj doznasz, ale cóż, stało się to z własnego twego wyboru. Obyś tego nigdy nie żałowała!

Sara rozrzewniona do głębi, padła ojcu do nóg, najwymowniejszych słów, najtkliwszych pieszczot użyła, ażeby go zmiękczyć, ale starzec został niewzruszony, powtarzając ciągle, że między nim, a jéj mężem, nigdy już nic wspólnego być nie może.

Służąca wchodząc, rozmowę tę przerwała. Kajfur wyszedł, a Sara złamana boleścią padła na sofę. Jednak postanowienie jéj nie zachwiało się. Czyż nie miała przed oczyma małego ubożuchnego pokoiku, w którym stała wybladła, pochylona postać. Ten ubogi człowiek to jéj mąż—Absalon Schneeball, któremu obecnością swoją tyle dobrego zrobić może. Z siłą mocnego postanowienia zerwała się i wyszła z domu, aby pójść do męża. Tak idąc spotkała Schneeballa—nie dostrzegł jéj—szła ciągle za nim, ażeby razem wejść do jego mieszkania. Czasem tak słabła, że zdawało jéj się, że upadnie, ale znowu moralnym bodźcem pokrzepione, wracały jéj siły i szła daléj. Na raz obrócił się Schneeball i postąpił ku niéj; ona z razu nie wiedziała, czy uciec, czy pozostać, cóż mu przeszło przez myśl gdy ją zobaczył? Zdawało się, że odczuł co się w niéj działo, gdyż słodki uśmiech przeszedł, przez wynędzniałe jego oblicze. Sara wsunęła rękę pod jego ramię i rzekła drżącym głosem: pojdę z tobą Absalonie.

On stał w milczeniu— i usiłował oddalić ją.

— Szłam właśnie do ciebie, gdym cię spotkała; idę więc za tobą, żeby razem wejść do twego mieszkania.

On milczał ciągle i wpatrywał się w nią.

— Stało się tak jakeś żądał Absalonie. Sąd mnie tobie przysądził, upływają już dnie, w których wyrok ma być wykonany— jestem więc — rób ze mną co ci się podoba.

Zamilkła, a on jeszcze stał długo obok niéj, bez poruszenia, bez słowa. Gdy tak stał, przechodziło mu przez głowę wszystko, jego wielka miłość dla niéj, i jéj zdrada. Miał jéj to za dobre, że dobrowolnie przyszła znów do niego, nie zważając na jego ubóstwo, potrącając wolę ojca, że nie chciała, aby proces był daléj prowadzony, i gdy o tém wszystkiem myślał, miękło jego dotąd nieugięte serce i szepnął nareszcie odwracając od niéj oczy:

— Chodź ze mną, kiedyś mi przysądzona i przychodzisz na mocy sądowego wyroku.

Gdy tak mówił, Sara jękła, jakby jéj coś w piersi pękało. Przycisnęła się do niego, gorące łzy spływały po jéj policzkach, i wśród łkań, jedno tylko słowo wyrzec mogła: Absalonie!...

Nie mógł inaczéj jak spojrzéć na nią,—nie mógł inaczéj jak objąć jéj kibić, boby była upadła, a gdy ją obejmował zadrżał całem ciałem i wszystko co było goryczy, zatwardziałości w jego sercu, na raz je opuściło. Dojrzał ubogą suknię Sary, zrozumiał, że się tak do ubogiego jego gospodarstwa przygotowała i to rozrzewniło go.

Wyobraził sobie tę piękną kobietę, w swojem nędznem mieszkaniu, jak jakie królewskie zjawisko i zarazem żal ścisnął mu piersi.

Chciał ją widziéć poniżoną, upokorzoną, a teraz już cierpiał nad tem, że będzie ubogą i że żyć musi w nędzy i potrzebie. Miałże ją prowadzić na te trzy piętra trzęsących się wschodów i dać usiąść na jedynym stołku jaki był w jego mieszkaniu? Ona była tak piękną, tak delikatną, tak przywykłą do bogactwa i zbytku, jak więc było okrutnie pozbawić ją tego wszystkiego!... Pod wpływem tych myśli i uczuć, pod wpływem gorącéj miłości, która rozkwitała na nowo, lubo nigdy nie była zupełnie wyziębiona, rzekł:

— Chodź— poszukamy sobie mieszkania— będę probował zarabiać dla nas obojga.

Wziął ją pod ręce i niósł bardziéj niż prowadził. Trudnoby było powiedziéć, które z dwojga było w téj chwili szczęśliwsze. Prowadził ją tak przez ulicę, a kto ich spotkał, stawał zdziwiony— głowy wychylały się z okien i z ust do ust przechodziła wieść: Sara powróciła do męża— Schneeball pogodził się z żoną.

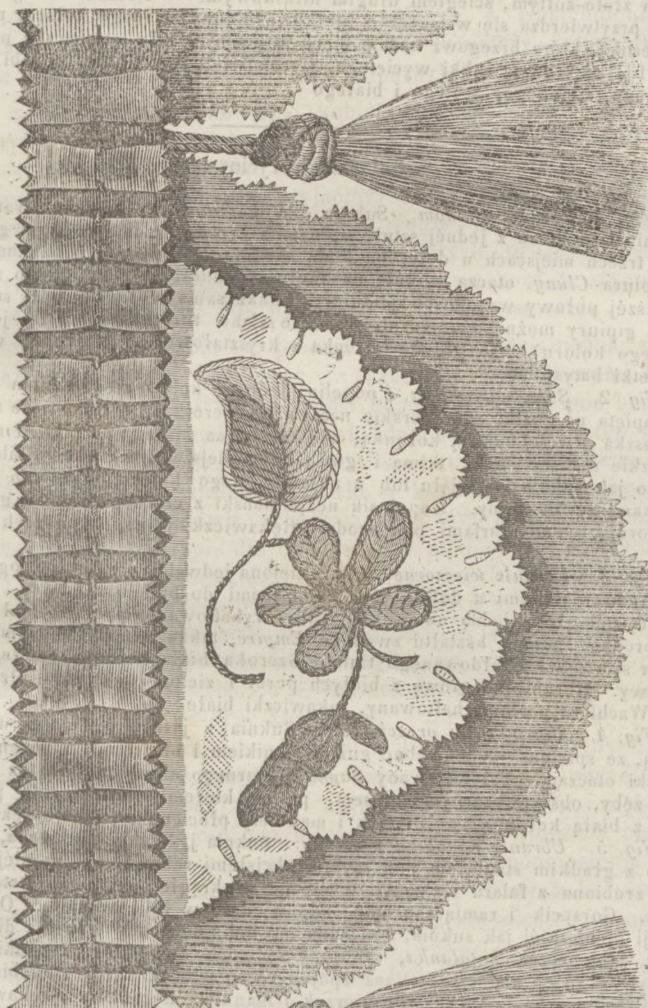
On jednak nie miał na to wszystko ani oczu, ani uszu; miał ją więc znów przy sobie, tę, za którą cztery lata tęsknił, któréj nigdy kochać nie przestał.

Schnneeball siedział w kancelarji adwokata Falkenklan, który we wszystkich interesach na niego się spuszczał i nazywał go przyjacielsko, po staremu, *Sznobeles.* Ten pracował pilnie aby zarobić na utrzymanie wygodne Sary i nie pozwalał nawet, aby wydawała to, co jéj przypadło po matce. Obok żony powróciła mu znów dawna energja, lecz ciężkie doświadczenie przez jakie przeszedł, zmieniło go do głębi; wygórowana miłość własna, opuściła go na zawsze i nie wstydził się już swego dawnego nazwiska.

Sara była nadzwyczaj szczęśliwa, jedna tylko czarna plama pozostała na pogodzie jéj żywota— wspomnienie opuszczonego ojca.

Dawid wyzwolił się z więzienia i pracował w jakimciś kantorze, ale o Ksawerym już nigdy więcéj nie słyszano.

Dodatek do Zeszytu VII, Kółka Domowego. 1867.



Lambrekin czyli garnirowanie do kominków, do poduszek na okna i t. p.

Drzeworyt przedstawia zawieszenie *lambrekin* zwane, które może służyć na szyfonierkę, na obszycie poduszki do okien, ubranie komina i t. p. Składa się z dwóch osobnych części, z których każda jest ozdobiona małemi ząbkami wybijanemi żelazkiem, jakiego rękawiczniki używają do wybijania ozdób skórzanych. Część spodnia łuku zrobiona jest z repsu fijołkowego wełnianego, zwierzchnia zaś, mniejsza, z białego cienkiego sukna. Na białą część przenosi się gałązka fijołka z listkiem i pączkiem, jak rysunek wskazuje. Fijołek, liść i pączek robią się szydełkiem, ściegiem zwyczajnym, *langietkowy* zwanym, wąs i gałązka, zwyczajnym łańcuszkiem. Aplikację tę dokładnie rysunek przedstawia. Włóczka na wąsy i łodygę powinna być ciemno zielona, na liść i obsadę pączka, nieco jaśniejsza; kwiatowe zaś listki fijołka i jego pączka robią się z jedwabiu fijołkowego. Środek fijołka jest to punkcik haftowany złoto-żółtym jedwabiem na wysokiem podłożeniu. Białą klapę przyozdobioną taką aplikacją, przymocowywa się na fi-

jałkowéj w ten sposób, że w zacięciach ząbków przyhaftować ją trzeba do spodniéj, jedwabiem złoto-żółtym, ściegiem długim atłaskowym. — Poczem na górnéj części lambrekinu przytwierdza się wstążeczka fijołkowego lub zielonego koloru, na dwa do trzech cent: szeroka, która brzegowi nadaje nieco sztywności. Tę wstążeczkę pokrywa się ruszą z repsu fijołkowego w ząbki wyciętego, szerokości 3 cen: Chwasty robi się z jedwabiów: fijołkowego, zielonego, żółtego i białego

Objaśnienie ryciny mód.

Fig. 1. Ubranie na dom. Suknia lila kaszmirowa, krojem zwanym *Gabrjela*, to jest stanik i spódnica z jednéj sztuki, spinana z przodu dwoma rzędami guzików, roztwierana w trzech miejscach u dołu, na białą spódniczkę czterema falbankami obszytą. Szeroka gipiura *Cluny*, otacza suknię na około i podnosi się dubeltowo z dwóch boków, do większéj połowy wysokości spódnicy. Takaż sama wyłoga u góry stanika i rękawów (zamiast gipiury można użyć garnirowania ze szlaku tureckiego lub też jedwabnéj materji stosownego koloru). Na głowie koronka z kryształowemi grelotkami; wązki kołnierzyk i mankietki batystowe.

Fig 2. Suknia wizytowa, z popeliny jednego koloru ze stanikiem pod szyję. Spódnica zapięta na guziki szmuklerskie naszywane perełkami. Boki tejże naszyte w kształcie fartuszka w zęby czarną koronką, nad tąż taśma białemi perełkami naszywana. Gładkie wązkie rękawy takąż taśmą i guzikami mniejszemi naszyte. Paletot zwany *Kora* z takiego jak suknia materjału lub z aksamitu tego koloru, zarówno koronką i taśmą z perełkami garnirowany. Kapelusik neapolitański z czarnego tiulu z grelotkami i różą, spięty koronkowemi szarfami pod brodą. Rękawiczki jasne, kołnierzyk i mankiety haftowane.

Fig. 3. Ubranie wieczorne. Suknia zielona jedwabna, z długim ogonem, ozdobiona szarfami zaokrąglonemi u dołu i niedochodzącemi do brzegu spódnicy, a umieszczonemi w równéj odległości jedna od drugiéj; całe wyhaftowane perłami białemi i wązką obszyte koronką. Stanik kształtu zwanego *Empire*, także naszyty perłami; jego wykroju dopełnia szmizetka z fałdowanego tiulu. Szeroka biała koronka otaczając pachę, stanowi rękawy. Ubranie na głowę z białych pereł i zielonéj wstążki. Perły na szyi i rękach. Wachlarz perłami haftowany, rękawiczki białe.

Fig. 4. Ubranie na przechadzkę. Suknia z jasnéj wełnianéj materji z gładką spódnicą, ze spiętym na jedwabne guziki stanikiem i obcisłemi rękawami, które jedwabne pliski otaczają. Paletot zwany *Sapho* z czarnego aksamitu, lub też z materji jedwabnej w zęby, obszyte czarnym atłasem, po nad któremi atłasowe idą pliski. Kapelusik różowy z białą koronką, kołnierzyk i mankiety płócienne, paliowe rękawiczki.

Fig. 5. Ubranie na obiad proszony. Suknia jedwabna niebieska, obszyta grubym sznurem z gładkim stanikiem pod szyję i obcisłemi rękawami. Na niéj tunika z gorsecikiem, zrobiona z fularu w paski, wycinana w okrągłe, duże zęby, stosownym obszyte sznurem. Gorsecik i ramiączka także odpowiednio w łuki wycięte. Opaska hiszpańska z materji niebieskiéj jak suknia, związana na boku na gruby węzeł z długo spadającemi końcami. Czepeczek *katalanka*, zrobiony z dwóch kawałków koronki roztwierających się na tyle głowy, nad czołem zaś spojonych płaską kokardą z niebieskiego aksamitu ogarnirowaną wąską koronką. Kołnierzyk i mankiety koronkowe, rękawiczki jasne.

O UBIORACH.

Naszemu Kurjerowi Świątecznemu niezmiernie udał się koncept, o kilkunastu znalezionych na salonie ogonach sukien, które są do zbycia dla nadsztukowania zbyt wygorsowanych staników, bo pod obu temi względami przesadzają bardzo dzisiejsze elegantki. Nic nie przeszkadza, że surowe starsze kobiety srodze się oburzają na ten wykrój staników, (powtórzonych wprawdzie z czasów babek naszych), napróżno mężczyzni narzekają głośno i klną w duchu te powłóczyste szaty swych bogiń, które, nawet strzegąc się uchodzić za niezgrabnych, nadeptywać i szarpać muszą obcasami swemi, nic nie pomaga—plecy, ramiona i piersi pozostają odkryte, a przykryta posadzka. Wprawdzie kobieta, szczególniéj nie zbyt drobną ma z tym *ogonem*

wygląd wspaniały, monarchiczny, ale na balach trwa to nie długo i często jedna godzina niszczy, pracowicie zbudowane dzieło modniarek, a poczciwe krynoliny niegdyś tak okrzyczane, są wspominane z westchnieniem, jak pierwsza żona któréj wady wyszły z pamięci a pozostały przymioty: lepszą była powiada dziś ten nawet, co na nią najbardziéj nastawał.

Piszą z Paryża, że na sto kobiet dziewięćdziesiąt jest czarno ubranych, myślećby zatem można, że ta pozorna skromność odzieży jest oszczędną, lecz bynajmniéj; chociaż nawet suknia gładka jest najmodniejszą na wizytę piechoto i na obiad do przyjaciół, ale powinna być z pięknego jedwabnego *gros grains*, które, jako będące ciągle w modzie, kosztuje 22 franków metr, że zaś robota sukien jest w Paryżu droższa znacznie niż u nas, z przyczyny drogości życia, więc taka *skromna toaleta* wynosi około 500 franków czyli 150 rubli. Nie naśladujmyż téj skromności.

Kapelusze wiosenne robią się jeszcze mniejsze, jeżeli można; zaczynają zarzucać wstążki pod brodą, zastępując je szarfami koronkowemi lub jedwabnym tiulem. Cesarzowa francuzka nosi kapelusze spięte pod brodą aksamitkami, a na wierzch szarfami tiulowemi, zdaje się więc, że ten rodzaj się upowszechni. Coraz bardziéj wdzierające się ku wierzchołkowi głowy włosy, czynią niepodobnem istnienie główki w kapeluszu, lecz zapewne się na tem skończy, że się znowu schowają w główkę, która wtedy naraz w wielkich rozmiarach wystąpi, dla objęcia tych puklów czy warkoczy, które już tak poszły w górę, że u niektórych są widoczne z frontu, ta przesada wszakże równie razi, jak włosy niegdyś na plecach leżące. Powabniéj stokroć wyglądają włosy rozsypane na tył głowy w loki z pod ozdobnego grzebienia się wymykające, ale stosowne są tylko do większego ubrania, do wyciętéj sukni; nad czołem układają je zawsze w małe nioby karbowane, lub całkiem odwrócone od twarzy ku tyłowi.

Wspominaliśmy, że suknie z gładkich materji i jednostajnych kolorów są najmodniejsze, moda to oszczędna, bo każdy ma mniéj więcéj w swéj garderobie taką suknię i bodaj była najbardziéj zastarzała, może ją po dzisiejszemu przerobić. Ale cóż! powiadają, że fabryki lijońskie cierpiałyby na tem i spodziewają się, że cesarzowa Eugenja, dla podniesienia przemysłu, włoży jaką wzorzystą materję, a za nią kobiety różnych krajów, bogatsze i nawet uboższe pospieszą uczynić to samo, często niestety z narażeniem dobrobytu rodziny.

Szarfy olbrzymiéj szerokości, z dużemi kokardami z tyłu stanika, wracają znowu, tylko je należy podszywać sztywnym tiulem, żeby się nie skręcały. Widzieliśmy taką szarfę przy sukni popelinowéj, takiegoż jak suknia koloru, a drugą amarantową przy sukni białéj muślinowéj. Suknia ta ubierająca młodą osobę, złożona była prawie cała z płaskich falbanek, szerokich na cztery palce; takaż sama falbanka otaczała w kształcie berty, wycięty mocno stanik i służyła już za rękawy. Z tą suknią puszczone od wierzchołka głowy włosy w licznych, dłuższych i krótszych lokach, śliczne tworzyły ubranie.

Magazyny nasze dosyć są puste w téj chwili, pod względem nowości. Pan Pękala obiecuje świeże towary za dwa tygodnie, pan Włodkowski chcąc półki swego składu nowemi wymysłami mody zapełnić, urządził z dawniejszych wyprzedaż z obniżeniem ceny. Po znacznéj liczbie paletotów wciętych do stanu, jakie się tam wcale tanio sprzedały, widać, że zaczynają wychodzić z użycia, szczególniéj w okryciach cieplejszych. Osoby nie mające

pretensji nosić wszystkiego w najświeższym kroju i gatunku, mogą na takiéj wyprzedaży zrobić nie jeden dobry sprawunek, tem bardziéj, że obecnie dowolność w ubiorach, panuje większa niż kiedykolwiek i żaden krój nie jest despotycznie narzucony jako jedynie stosowny.

PRZEPISY OGRODNICZE.

Zasady ogólne pielęgnowania kwiatów w pomieszkaniach.

(Dalszy ciąg).

9. Nie ulega zaprzeczeniu, że przystęp powietrza atmosferycznego, jest nader pożytecznym dla roślin i nadzwyczaj skutecznie przyczynia się do bujnego onych wzrostu. Wszelako u nas w porze zimowéj, nie można ani nawet pomyśleć o wystawianiu roślin na wpływ powietrza prędzéj, jak dopiero w początkach marca, i to tylko w godzinach południowych, przy ożywczem działaniu ciepłych promieni słonecznych i ocieplonéj już nieco temperaturze. Wtedy można nieco okna otwierać, w taki jednak sposób, aby powietrze nie wpływało prosto na rośliny które odwyknąwszy od surowéj atmosfery, zwolna tylko do takowéj przyzwyczajać się powinny, przy tak oględnem postępowaniu, wpływ powietrza atmosferycznego na rośliny okaże się nader zbawiennym i nadzwyczaj sprzyjającym rozwijaniu się kwiatów.

10. Jeżeli skutkiem podwyższonéj temperatury, jaka zwykle utrzymywaną bywa w pomieszkaniach, rozbudzoną zostanie wegetacja roślinna, w takim razie należy nader oględnie obchodzić się z roślinami, zwolna przyzwyczajać je do powietrza i słońca i nie nagle ustawiać je blisko okien. Inaczéj bowiem młode wyrostki czyli odrośle i pędy uszkodzone zostaną. Z przybliżającą się coraz więcéj wiosną, przy coraz silniejszéj operacji słonecznej, potrzeba stopniowo coraz więcej wystawiać rośliny na wpływ powietrza atmosferycznego, dla zapobieżenia prędkiemu wzrostowi onych, zanim zupełnie przywykną do rzeczonego powietrza i z pokojów zupełnie wystawione zostaną na dwór. Kiedy skutkiem podobnego postępowania, rośliny znacznie się ukrzepią, kiedy już nie można będzie spodziewać się mocnych przymrozków, wtedy mniej delikatne rośliny, można już będzie wystawiać na dwór, pamiętając w początkach przez tydzień lub dwa tygodnie, chronić je przed działaniem silnych wiatrów, oraz zbyt gorących promieni słonecznych.

11. Miejsce, w którem rośliny pielęgnowane przez zimę w pokojach, mają być wystawione na dwór, powinno być osłonięte przed działaniem wiatrów północnych i wschodnich. Rośliny wystawione przez cały dzień na działanie palących promieni słonecznych, nietylko że potrzebują częstego bardzo podlewania, lecz nader prędko okwitają. Dla niektórych tylko, a mianowicie dla wszystkich gatunków cactus, aloes, mesenbryanthemum, ciągłe działanie słońca jest nader pożądanem.

12. Chorowite rośliny, uszkodzone przez owady lub w jakikolwiek inny sposób, potrzeba utrzymywać w miejscach zacienionych i wystawiać je na działanie słońca tylko w godzinach rannych, chroniąc je zarazem od zbytecznéj wilgoci. *(D. n.)*